

9748

Bibl. Jag.

IV



Fotografował St. Biedziński w Krakowie.

STARA WIERZBA

stojąca przy drodze, która od gościńca mogińskiego na lewo do Olszy prowadzi.

WIERSZ DO STARÉJ WIERZBY

i oraz pożegnanie takowej

od

Dr. Józefa Brodowicza.

Wierzo moja ulubiona!
Pamiętna mi dotąd chwilka,
Gdyś była tu posadzona
A przy tobie jeszcze kilka.
Wtedy stałaś tuż przy brzegu,
Gdzie było koryto duże,
Kiedy Białka w swoim biegu
Lizała twoje podnóża.
Naprzeciw po drugiej stronie
Zajmował obszerne błonie
Gęsty, stary las olchowy,
Gdzie kozy, owce i krowy
Bujną trawę spożywały
Albo w cieniu spoczywały;
Nad rzeką wisiała kładka,
Kiedy z dziećmi ojciec, matka
Lub z pannami kawalery
Przechodzili na spacer,
Niosąc z sobą czasem w dzbanie
Kawę, mleko na śniadanie,
Albo koszyki i worki
Z prowiantem na podwieczorki.
Wtedy bowiem Kraków stary,
Za trzech monarchów ugodą,
Został republiką młodą,
Choć i bardzo drobnej miary;
A że ziemia tej wolizny
Wydaje plon bardzo żyzny,
Zatem nie brakło mu chleba
Ani soli z łaski nieba.
Innych potrzebnych przedmiotów
Jakiegokolwiek rodzaju,
Skoro ich nie było w kraju,
Kupiec dostarczyć był gotów,
Zwłaszcza, że te rekwizyty
Sprawdzał, nie płacąc myła.
Znał wszystko bywało tanie,
Żywność, odzież i mieszkanie:
Więc nie tylko pan bogaty
W mieście żył sobie wesoło,

Leż i po wsiach naokoło
Každy chłopiec wśród swej chaty.
Jakoż od roku początku
Stały na dziennym porządku
Sute wieczory, biesiady;
A w następnym karnawale
Domowe, publiczne bale,
Reduty i maskarady.
Na tych tylko wyższe stany
Wygrawiały sztuczne tany,
Kiedy szynków rząd obfity
Zabawiał lud pospolity.
Tu więc, byle grajek jaki
Rzynał od ucha krakowiaki,
Młodzież ochoczo tańczyła,
A starszyzna gnarząc pita.
Leż i biskup i prołaci
Wtedy jeszcze dość bogaci,
A przy nich liczne falangi
Księży świeckich różnej rangi;
Wreszcie mnichów, mniszek roje
Przyodzianych w różne stroje:
Stowcem, wszystkie te osoby —
Tytuł kościołów ozdoby,
Że Kraków otrzymał miano,
I że „Matym Rzymem” zwano —
Załatwiewszy ducha sprawy,
Lubili uszyć zabawy
Różnej, tak po księżych dworach,
Jak i po różnych klasztorach.
Wszakże najwięcej kapłanów
Świeckich i zakonnych klasy
Zamożniejszych w owe czasy,
Nasładowało w tej mierze
Główną zabawę profanów:
Więc obiady i wieczery
W mniejszem albo większem kole
Rozrywali ich przy stole.
Złgdo wszędzie bankiet tłusty
Kończył święta i odpusty,

Na którym księża i mnichy
 Spełniali winne kielichy,
 A piwne kufle bracijskie.
 Gdy przecięnie, słomne mniszki
 Potępiały ich zabawę
 I spełniały raczej kawę
 Lub herbatę ze śmietanką
 Dabellową filiżanką.
 Przyczém żurawa pogadulka
 Tęsząca się w gronie kółka,
 Tudzież cukrowe łakotki,
 Konfitury i pierniki,
 Produkta własnej fabryki,
 Przegradzający napój słodki,
 Półki dzwonów głos ponury
 Nie powołał ich na chóry,
 Gdzie po kawie, piwie, winie
 Modlono się po łacinie.
 Zgoła byłto kącik luby,
 Półki spiski głupich żaków
 I kilku pseudo-Polaków
 Nie przepowiedły go do zguby.
 Ty, moja wierzbo, tymczasem
 Rostaś swobodnie pod lasem
 I przed mojem oczyma
 Rozrosłaś się na olbrzyma,
 Którego smukłe konary
 Kryje gesty dach zielony
 I na kształt ogromnej chumary
 Rzuca cień na wszystkie strony.
 Ale cóżto za różnica
 Jakiej twoja okolica
 I Rzeczpospolita cała
 Od lat trzydziestu doznata!
 Dziś już nie widać strumienia,
 Który wilżył twe korzenia,
 A w suchem jego korycie
 Krzewią się chwasty sówicie;
 Kędy zaś szło się po ławie,
 Przejdziesz dziś każdy po trawie,
 Skoro nie czuje odrazy
 Nawiedzić dzikiej oazy,
 W jaką bujny las olchowy
 Zamienił wyrok surowy.
 Jednocześnie moje losy
 Niemniej się także zmieniły:
 Poswiecały stare włosy,
 Zwiędło ciało, znikły siły;
 Włóczę się, jak cień po świecie,
 Półki mię Kostus nie zmiecie:
 A do tego wszystkich prawię

Csałych niegdys na mą dolę
 Przewieź Charon w swojej nawie
 Już na elizejskie pole,
 I nabawił mię żałoby,
 Która dręczy do tej doby.
 Podobnie i twoje siostry,
 Sadzone tu niegdys razem,
 Zagładził czasu żąb ostry,
 A może zły czełk żelazem!
 Zład aczkolwiek między nami
 I to pod wielu względami
 Ważne zachodzą różnice,
 To ból takiś sam przenika
 Ciebie w polu samotnicę,
 Jak mię w mieście samotnika.
 Owoż zanim śmierci goniec
 Opyłosi mi życia koniec,
 Przyłazłem tu w czoła pocie,
 By odpocząć w twym namiocie
 I podumać tu przez chwilę:
 Co się będzie z duchem dzieła,
 Gdy opuści stare ciało
 I pożegna przy mogile,
 Powołrę: bym raz ostatni
 Dał ci pocałunek bratni
 I uściśknął pien omaszony
 Jeszcze raz memi ramiony;
 Wreszcie, bym cię czułem pieniem,
 Pożegnał z takim życzeniem:
 Bodej nigdy twoja kora
 Nie znała ostrza topora,
 A rozłożysta korona
 Bujnym liściem umajona,
 Niech rzuca na wszystkie boki
 Z każdą wiosną cień szeroki,
 Pod który przed stołca żarem
 Mógłby się schronić wędrowiec,
 Albo pasterz krów lub owiec,
 Albo myśliwy z ogarem.
 Zgoła, żyjęć wierzbo miła,
 Ażebyś tak długo żyła
 I to ustronie zdobyła,
 Dopóki sama dryada,
 Która twojem ciałem włada
 Nie porzuci swojej chaty
 Zniszczonej setnemi laty,
 Poczém, niech wiatry rozdmuchną
 Na wszystkie strony twe próchno,
 By dostarczało żywioła
 Wszelkim roślinom dokoła.

POEZJA FAJKI.

Jeżeli już smakujesz w Nikocyany ziółkach,
 To palże je przynajmniej w tureckich stambułkach,
 I prowadź dym do gęby kominem cybucha,
 A ta niech go powoli kłębam wydmucha,
 Napełniając komnatę balsamiczną wonią,
 Jaką tylko sułtańskie złote listki ronia.
 Antypki bursztynowe niech wieńczą infuły,
 Iżby warg nie raniły i zębów nie psuły;
 Wreszcie zawieś nań suty kutas ku ozdobie,
 Bo ten doda powagi i fajce i tobie.
 Poczem utoń na sofie lub w krześle głęboko,
 Zamróż oczy i puszczaj myśl w ubiegłe lata,
 A odwilżając czasem usta czarną Mokką,
 Wznies ducha nad poziom i marności świata — *ten*
 Niech rozgrzany miłością, wiarą i nadzieją,
 Szybuje lotem orła, aż gdzie gwiazdy tleją,
 I marzy o rozkoszach lepszego żywota,
 Skoro go raz z cielesnych więzów śmierć wymota.
 Tak więc fajka wprawi cię w poetyczne mary,
 Jakiemi prozaiczne nie natchną cygary.
 Które dzisiaj młódź, starzy, a nawet kobiety,
 Bez względu na płeć, zdrowie, z ujmą etykiety,
 Niby lunt gorejący w ustach, ciągle żują,
 Siebie wędzą, a drugich ostrym dymem trują.

*Dodać opublikowane w ten
 i Książka cygar to dobić*
B

POEZJA FAJKI.

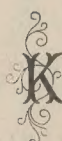
Jeżeli już smakujesz w Nikocyany ziółkach,
To palże je przynajmniej w tureckich stambulkach,
I prowadź dym do gęby kominem cybucha,
A ta niech go powoli kłębami wydmucha,
Napełniając komnatę balsamiczną wonią,
Jaką tylko sultańskie złote listki ronią.
Antypki bursztynowe niech wieńczą infuły,
Iżby warg nie raniły i zębów nie psuły;
Wreszcie zawieś nań suty kutas ku ozdobie,
Bo ten doda powagi i fajce i tobie.
Poczem uton na sofie lub w krześle głęboko,
Zamróż oczy i puszczaj myśl w ubiegłe lata,
A odwilżając czasem usta czarną Mokką,
Wznies ducha nad ten poziom i marność świata —
Niech rozgrzany miłością, wiarą i nadzieją,
Szybuję lotem orla, aż gdzie gwiazdy tleją,
I marzy o rozkoszach lepszego żywota,
Skoro go raz z cielesnych więzów śmierć wymota.
Tak więc fajka wprawi cię w poetyczne mary,
Jakiemi prozaiczne nie natchną cygary,
Które dzisiaj młódź, starzy, a nawet kobiety,
Bez względu na płć, zdrowie, z ujmą etykiety,
Niby lunt gorejący w ustach ciągle żują,
Siebie wędzą, a drugich ostrym dymem trują.



5

EPIZOD DO POEZJI FAJKI

w dniu czterechset-letniej rocznicy urodzin Kopernika.

Kopernik nie znał wprawdzie cygarów ni fajki,
Lecz dumał i wędrował po niebiosach w duchu,
I tam on dostrzegł ziemi koło słońca ruchu;
Wykrył prawdę, rozproszył przeciwników bajki.
Więc i ty, jeżeli chcesz uniknąć ułudy
Setnych bajek, jakimi kłamcy durzą ludy,
I dopatrzyć się prawdy w brudnym ich zamięcie,
To wędruj z nim po jasnym niebios firmamencie;
Gdyż tam, gdzie wiecznym blaskiem młryady gwiazd
[świecą,
Jawną jest wszelka prawda, a błąd tajemnicą.

POST SCRIPTUM.

*Z*resztą pal sobie fajkę w téj lotnej podróży,
Boć jój dymek bynajmniej nieba nie zachmurzy;
A może nawet zapach miłej jego woni,
Sławnego astronoma do palenia skłoni?
Co ujrawszy niejeden mędrzec znakomity,
Czyto Grek, czy Rzymianin, czyli jakiś inny,
Przed wykryciem nowego w starym świecie słynny,
Gotów pójść za przykładem naszego Lechity,
I pociągnąć za sobą naśladowców trzodę,
Tak, że tytoń i fajka i tam wejdą w modę.
Poczem jakiś z krakowskich ferlegerów rzeszy,
By dogodzić duchowych fajczarzy potrzebie,
Wziąwszy pakę sułtana, oraz piwa beczkę,
Wsiedzie zaraz na balon i do nich pospieszy;
I otworzy najpierwszą trafikę na niebie,
A tuż obok dla gości „wielmożną knajpeczkę.“

W Krakowie dnia 19 ~~Lutego~~ 1873 r.

POEZJA FAJKI.

17c
Jeżeli już smakujesz w Nikocyany ziółkach,
To palże je przynajmniej w tureckich stambułkach,
I prowadź dym do gęby kominem cybucha,
A ta niech go powolnie kłębami wydmucha.
Antypki bursztynowe niech wieńczą infuły,
Iżby warg nie raniły i zębów nie psuły.
Wreszcie, zawieś nań suty kutas ku ozdobie,
Bo to doda powagi i fajce i tobie.
18c
Pochem Potem uton na sofie lub w krześle głęboko,
I puszczaj myśl swobodnie w upłynione lata,
A odwilżając czasem usta czarną Mokką,
Przymróż oczy i dumaj nad marnością świata.
Tak ustroisz urokiem poezji twe mary,
Jakiego prozaiczka nie znają cygary,
Z którymi młódź i starzy, nie nie myśląc, chodzą,
I siebie wędzą, a drugim ciągle tylko smrodzą.

181

Tęsknota za miłością.

Próżno twe oczy wysledzić się kuszą
Tego coby czuł równie z twoją duszą!
Naprawdę cheiwie wyciągasz ramiona —
Cień tylko chwytasz cień tulisz do łona.
Czemuż mię dręczysz niesyta tęsknoto,
Czemu wymagasz niebiańskiej rozkoszy,
Kiedyż samotna na ziemi sieroto,
Kiedyż twe mrzonki doświadczenie spłoszy?
Czyż mało ciosów czyliż mało burzy?
Pień zgruchotany piorunem się kurzy,
A wątki korzeń darmo się wysila,
Bo już nie wróci odrodzenia chwila.
Miłości święte ale czeze nazwisko!
O marne bóstwo poznawszy cię blisko
Egoizm tylko ujrzym w twój postaci,
Który nam szczérość oszukaństwem płaci.

W napadzie hypokondryi w r. 1816.

Leonowi Uszczapowskiemu, młodemu lekarzowi i kole-
dze, na pamiątkę przy odjeździe w Wiedniu r. 1816.

Zacny kochany Leonie!
W jakiegokolwiek świata stronie,
Czyli tam znajdziesz swobodnie,
Czyli porwawszy za włosy
Zarzuca cię raczej losy,
Znajdziesz cnoty znajdziesz zbrodnie.
Ach świat wszędzie jednakowy
Czy z téj czy z tamtéj połowy.
Inny zwierz inna roślina
Karmią wprawdzie ziemi pana,
Lecz ta pokarmu odmiana
Nie zmieniła Ewy syna;
Kształt i barwa ludzi dwoj,
Kain z Ablem wszędzie stoi.
Gdy po ojczystym dziedzińcu
Chłopczyk dorwawszy się kija
Wesół wkoło domu zwija,
Nie dba jak tam na gościńcu

Jeździec z pieszym, z bryką bryka,
Już się ściera już wymyka;
Nie dba kto kogo wyściga,
Kto pierwszy u mety stanie,
Kto wñien konie czy biga,
Lub czyli wina w furmanie;
Gdy złamie rumaka swego,
Blisko płot wnet ma drugiego.
Ale ach przyjdą te lata,
Gdzie trza wyjść z lubój zagrody
I puścić się traktem świata,
By nowój szukać gospody.
Szczęśliwy komu z wyroku
Dobry przewodnik przy boku;
Lecz więcej tego szanuję,
Co bez wodza i przestrogi
Sam dobrej chwycił się drogi,
Kogo własny duch kieruje,
I własném uczuciem śmiały
Przebywa rowy i skały...

Pogląd w niebo przy pogodnej nocy.

Kiedy ku wam zwrócę oko
Złote gwiazdy, co wysoko
Pełne blasku i pociechy
Patrzycie na ludzkie strzechy,
A potem spojrzę naokoło siebie,
Gdzie noc w letargu wszelki żywot grzebie:
O jakaż wtedy tęsknota
Za miłością sercem miota...
Zaraz czarna mgła ści oczy
I łza strumieniem się toczy,
A pierś ściśniona jękiem tylko jawi
Gorącą żalność która wewnątrz trawi.
Tronie Boskiej wspaniałości
I wiekuistej Światłości,
Gdzie czysta prawda połyska
Śród nieśmiertelnych siedliska!
Czemuż! ach! duszę dla Ciebie stworzoną
Więzi głęboko ciemnej nocy łono?

R. 1856.

— ■ —

Charakter.

Myśli, czucia, chęci, czyny — są to cechy cztery,
Z jakich się układają ludzkie charaktery:
Różne według zgodności onych lub niezgody,
Zrodzonej z różnej człeka każdego przyrody;
Tudzież różnych stosunków, jakich doznać może
Tenże w życia swojego rozmaitej porze.
Najwięcej go odmienia sam zawód społeczny,
Tak jak siła żywotna ciało w każdym wieku:
Ztąd rzadko twarz młodzieńca poznasz w starym człeku
Jeszcze rzadziej tenże sam charakter stateczny;
A nieraz czas oboje tak dalece zmienia,
Że przy śmierci poznasz go już tylko z imienia.

Do Pana Władysława Klingera,
Profesora przy uniwersytecie Peruańskim w Limie.
Przy odesłaniu mu fotografii.

Niechaj Ci ten obrazek stawি przed oczyma
Przyjaciela Twojego, Matki i Ojczyma;
Tudzież Żony, jak równie Jój Ojca i Matki,
Którzy Cię zaliczyli między swoje dziatki.
Przytém życzę ażeby w Peruańskiej Limie
Twoje plemię zaszczytne zostawiło imię;
A gdy do rodzinnego powrócicie gniazda,
Niech wam stale i długo szczęścia świeci gwiazda;
Wreszcie sytych ziemskiego żywota słodyczy
Niech Bóg do swoich dzieci w Niebiesiech zaliczy.

— ■ —

Dziś a niegdys.

— o —

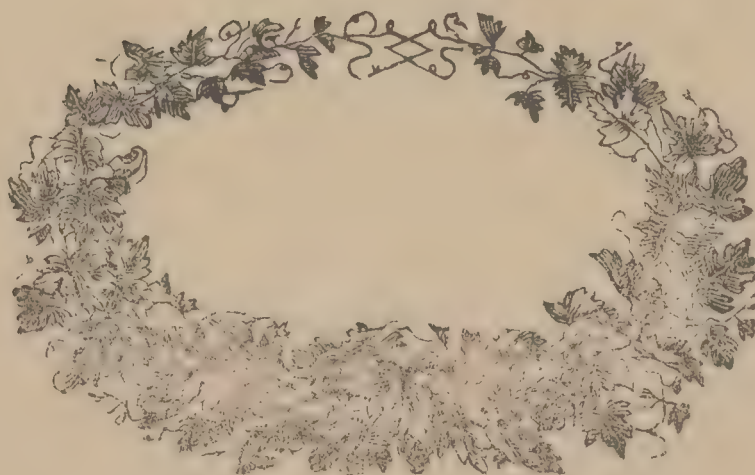
Niegdys zbyt nawiedzany od znajomych tłumu,
Korzystających z mego mienia lub rozumu;
Dziś żyję niby stary w puszczy eremita,
Kędy chyba zbłąkany wędrowiec zawita:
Albowiem ci, którzy mię rzeczywiście czcili
I w mojem towarzystwie smakowali sobie,
Więc i mnie towarzysze czcigodni i mili,
Wszyscy prawie już dawno spoczywają w grobie.
Z tych zaś którzy tu jeszcze na téj ziemi goszczą,
Jedni się o starego zupełnie nie troszczą,
Drudzy się wybierają lecz wybrać nie mogą,
Inni znowu daleką ekskuzują drogą
Do mojego mieszkania; innym mnogie sprawy
Urzędowe jak niemniej domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągłej ehęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmilszój zabawy;
Ale skoro naglejszój zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić, lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uścić ze słowa,
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.



Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbałstwa winy,
Z jakiegokolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam niechaj się nie trudzą
Z wizytą do żywego ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakalarza:
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.



KWIATKI POLNE.



Wydanie powtórne, pomnożone.

Kosztęm Wydawcy; na cele dobroczynne.

W Krakowie,
W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1872



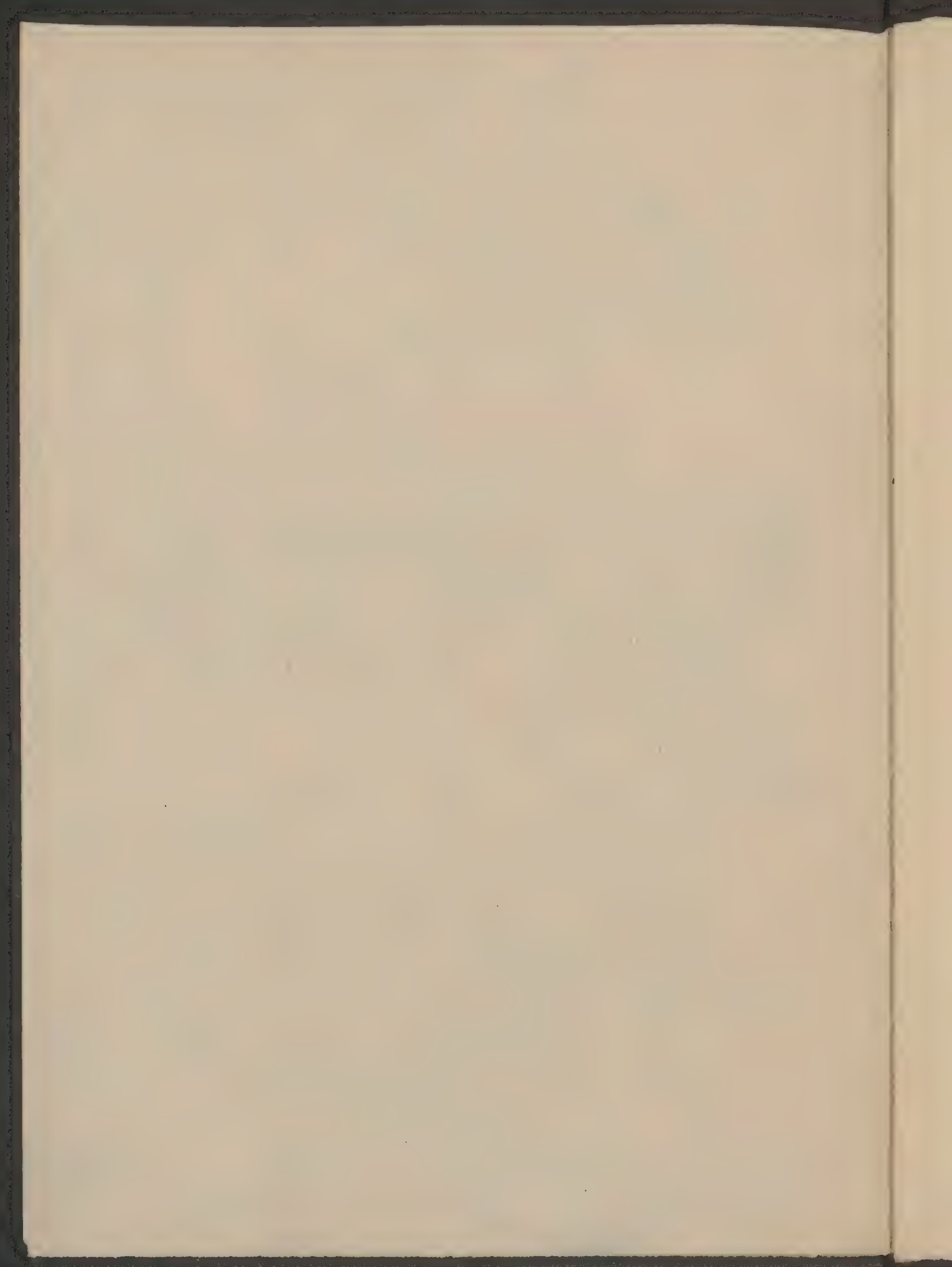
Przedmowa wydawcy.

4

Zbieracz tych Kwiatków ograniczył swój **zielniczek** do bardzo szczupłej liczby dubletów (100), które pomiędzy swoich Przyjaciół porozdawał ~~z~~ *z*

Należąc do ich grona od pół wieku i pragnąc rozpowszechnić ten zbiorek skromnych rymów, wymógłem na nim, po długim oporze, pozwolenie do powtórnego wydania, własnym kosztem, w nierównie większej ilości egzemplarzy, pod warunkiem, iż cała kwota ze sprzedarzy onych otrzymana, na cele dobroczynne obróconą zostanie; na co przystał wreszcie mój przyjaciel, i do nowój edycji jeszcze kilka kwiatków przyrzucił.

do
J. F. F.



Do Pana

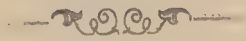
Jana Franciszka Fischera.

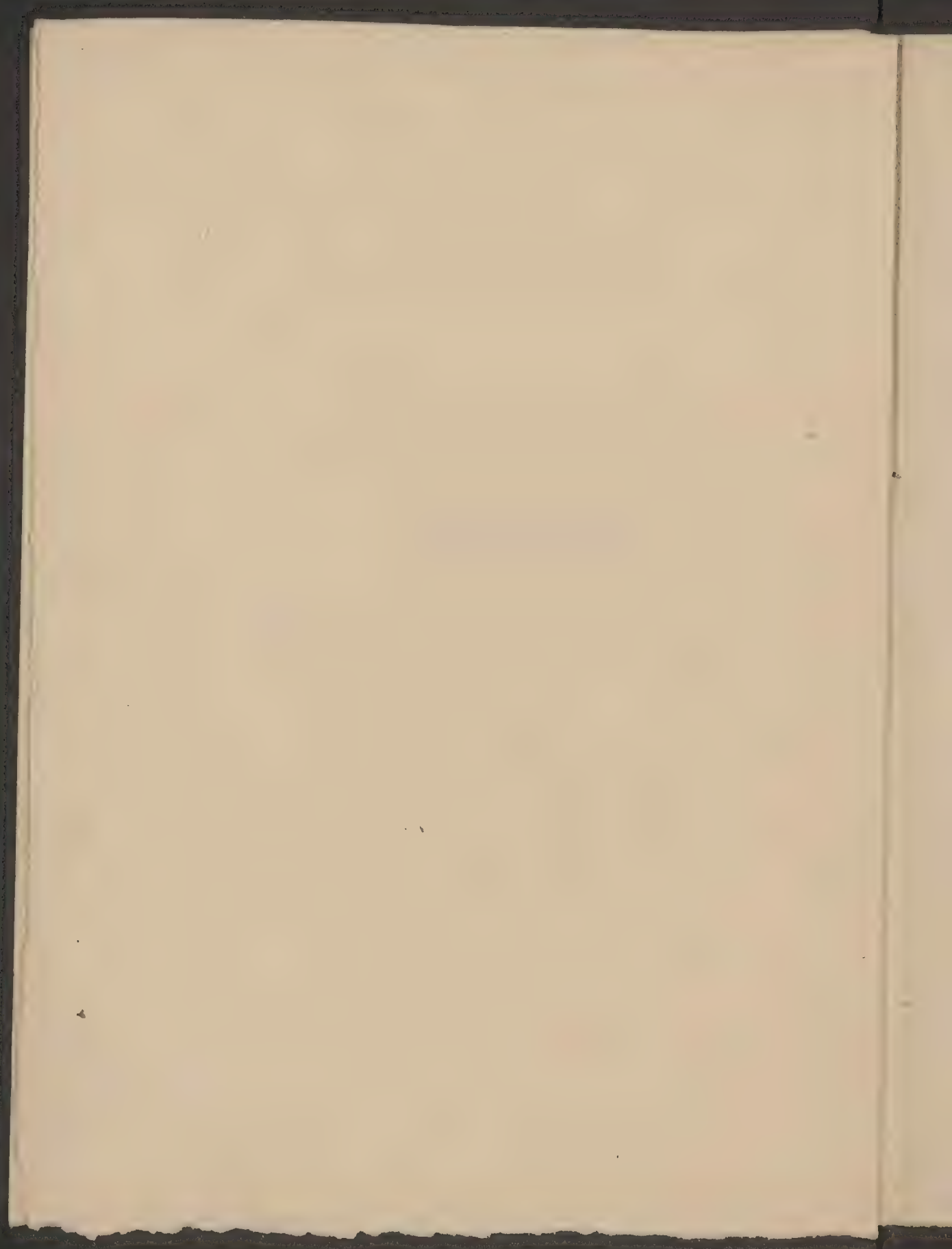
Zapagnałeś mój drogi Przyjacielu stary,
Bym dozwolił rozmnożyć moje Kwiatki polne,
Zrywane na wędrowce przez życie mozolne,
I chowane na skromne dla Przyjaciół dary.
Żeby mnie zaś nakłonić z sobą do ugody,
Przytaczałeś szczególnie dwa główne powody:
Pierwszy, byś mógł dogodzić takim, którzy marnie
Chcąc ich nabyć, kłopotczą tutejsze księgarnie;
Drugi zaś, iż plon, jaki przyniesie to ziele,
Chcesz oddać na jakiebądź dobroczynne cele.
Powód pierwszy, dla dumy literackiej miły,
Pokonać mego wstrętu nie miał żadnej siły;

Zwłaszcza, że bardzo wątpię, by moja chudość
Znalazła dużo takich, którym się podoba?
Lecz na drugi argument Twojej pięknej duszy,
Trudno już było dłużej zatykać se uszy.
Więc rozmnoż — i bogdajbyś zebrał plon bogaty!
A wtedy i ja pocznę cenić moje kwiaty.

J. B.

PRZYJACIOŁOM
NA PAMIĄTKĘ.






Poświęcenie.




Polne kwiatki, jakie rosną
W zimnej strefie z pierwszą wiosną,
Gdy się trawka zazieleni,
Albo też w późnej jesieni,
Przy słońcu babiego lata,
Kiedy ciepło szron przeplata,
I wnet martwą zimę wróży —
W smutnych i wesołych dobach
Mozolnej życia podróży,
Po borach, łąkach i grobach,
Nawiasem tylko uszczknione
I w ten wianuszek splecione, —
Nie dla jakiegś marnego chluby,
Lecz by zachować od zguby
I nie oddać poniewierce,
Co duch myślał, czuło serce.
Owóż ja to proste ziele,
Wątlęj barwy, słabiej woni,
Zanim bliska śmierć dogoni,
Wam poświęcam Przyjaciele!

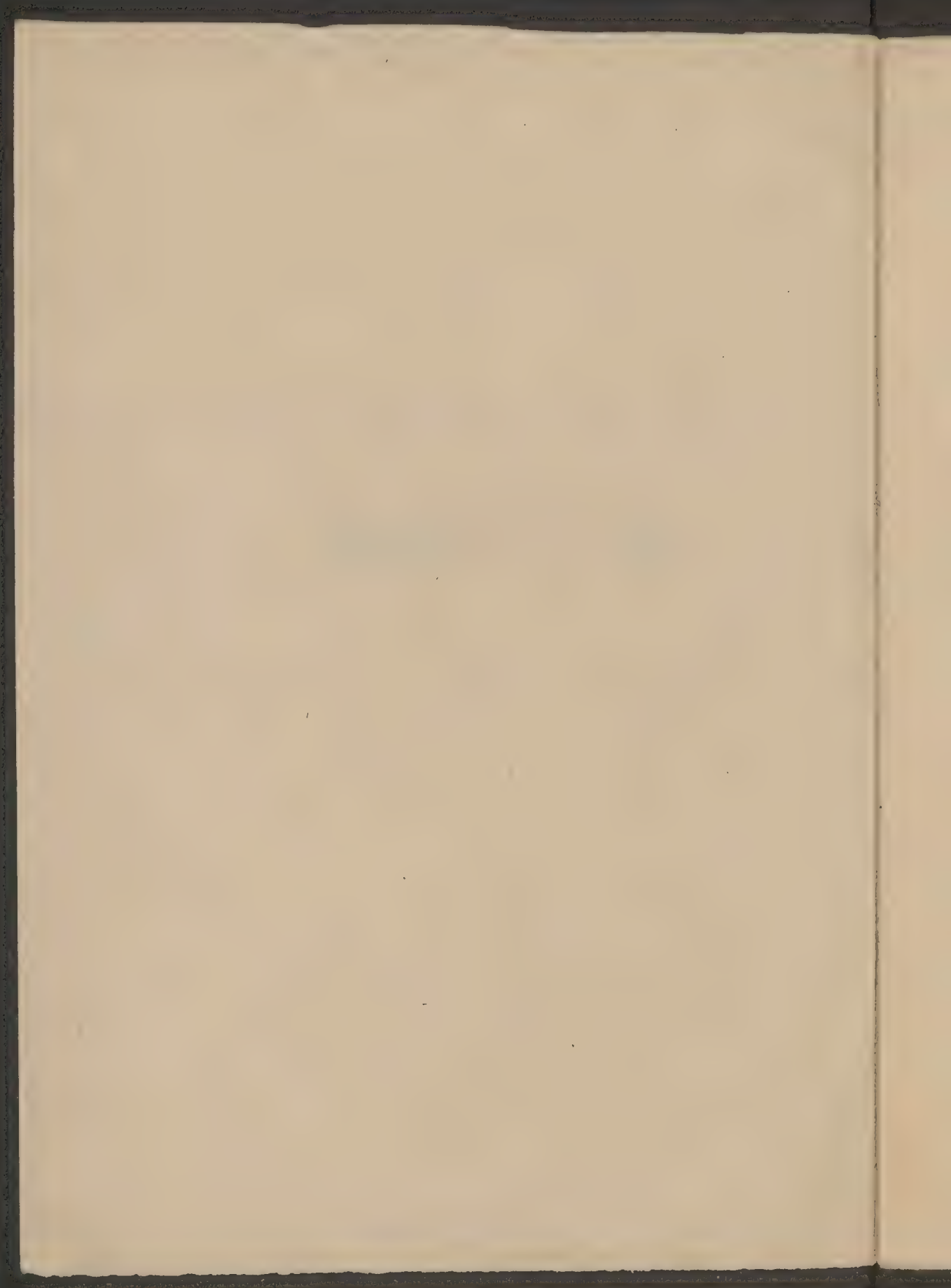
A poświęcam w dobrój wierze,
 Że przyjaciel nie przebiera,
 Ale wszystko chętnie bierze,
 Co mu niesie przyjaźń szczerą!
 Zróbcie z niém, jak chłopak z wiankiem,
 Który sobie w skwarném lecie,
 Nucąc cicho, w cieniu plecie;
 A potem z duszną pociechą
 Wiesza na krzyż lub pod strzechą:
 Zawieście go choć pod gankiem!
 A poglądając nań chwile,
 Wspominajcie tego mile,
 Który Was czcił i miłował,
 Gdy po téj ziemi wędrował;
 I jeszcze po ciała zgonie,
 Kiedy już Psyche skrzydlatą,
 Cisnąwszy ten kącik świata,
 Gdzieś tam w morzu gwiazd utonie,
 Zawsze jednako i wszędzie
 Czcić i miłować Was będzie.
 Gdyby zaś mój upominek
 Żadnych względów nie był warty,
 To podarłszy liche karty,
 Rzućcie na ogień w kominek!

M. J. B.



DODATEK.





12

Druga podróż do Gastunia 1872 r.

Artykułem powszechnéj, bardzo dawnéj wiary
Jest, iż w źródłach Gastunia odradza się stary;
A tamedzni doktorzy twierdzą jednozgodnie,
Że na to wystarczają prawie trzy tygodnie.
Jakoż raz doświadczywszy już tego uroku
W sześćdziesiątym i czwartym życia mego roku,
Zapagnałem doznać go jeszcze po raz wtóry:
Więc pojechałem znowu w dzikie jego góry. — 1
Lecz tą razą zawiodły mnie moje zamiary:
Gdyż, jako wyjechałem, tak wróciłem stary!
Widząc zatém, jak mylne doktorów zasady
I kapryśne fawory gastańskiej Najady;
I zważywszy, jak głupia chęć zmuszać naturę,
Ażeby stojącemu na progu mogiły
Powróciła zużyte długim wiekiem siły
I wygładziła jego pomarszczoną skórę:
Wolę raczéj uwielbiać Boga w jawnym cudzie,
Że tak długo chowa mnie w téj glinianej budzie,
I pozwala dogrywać wyznaczonej roli,
Dopóki ducha mego śmierć z niej nie wyzwoli
Wtedy Ten, co go stworzył, by w ludzkiej postaci
Postarzał się na ziemi w służbie swoich braci,

2 — Odrodzi go na prawdę, oplókawszy z kału,
 Jakim w ciągu pielgrzymki śród różnego tłumu
 Zbryzgały go obłędy słabego rozumu,
 I pokusy właściwe zwierzęcemu ciału.
 Potém zaś odzieje go w szatę świetnej krasy
 I wyprawi na kolej duchów wyższej klasy.
 Ażeby razem z bracią nowego zakonu
 Wspinał się coraz wyżej po szczeblach mądrości
 I zbliżał coraz więcej do Bożego tronu;
 Póki wreszcie stanąwszy u jego podnóża,
 Nie ujrzy swego ~~bytu~~ śród światłości morza
 I nie zacznie kosztować anielskiej miłości.



Człowiek gąsienica.



12
 7
 Dłuch człeczy z Bożej wypuszczon prawicy,
 Wiedzie na ziemi żywot gąsienicy:
 Więc ciągle żuje, spoczywa i łązi,
 Póki w poczwarkę się nie przeobrazi;
 Która, zasuta w grobowej mogile,
 W proch się obraca, z którego powstała;
 Kiedy tymczasem Psyche wiecznie trwała,
 Z niej się wykluwa jak hoże motyle,
 A skoro tylko skrzydelka rozwinie,
 Leci do góry i w obłokach ginie;
 Wracając znowu na Ojcowskie łono,
 Gdzie morzem światła gwiazd miliony płoną;

Tam ona z bracią starszymi pospołu,
Kosztuje odtąd Boskiego żywiołu!



Człowiek balon.

Jako ów balon, palnym gazem rozdęty,
Puszczon w powietrze wznosi się do góry;
Gdzie prądem wiatrów w różne strony pchnięty
Lata, dopóki nie przedrą mu skóry;
Poczém gaz palny umyka w obłoki,
A w dół spadają puste jego zwłoki:
Tak duch człowieczy, w ciele uwięziony,
Myślą i wolą party w różne strony,
Miota się, walcząc z wichrami żywota;
Dopóki swego nie zburzy więzienia,
Nie przedziurawi ściany lub sklepienia,
Łub krusząc rygle, nie wysadzi wrota.
Poczém robakom gruzy na żer ciska,
A sam pospiesza do Niebian siedliska.



Prawda i poezya.

Prawda surowém patrzy na świat okiem;
Poezja swoim krasi go urokiem,

Dopóki dusza w silném ciele gości;
 Wolném od chorób, opodał starości;
 A zatém zdolném pełnić jój rozkazy,
 Mądre czy głupie — bez własnej obrazy.
 Lecz skoro ciało choroba osłabi
 Lub niedoleżna starość w nim przemaga,
 Urok poezji już ducha nie wabi,
 Bo wszędzie prawda występuje naga.



Ludzkie sądy.

Ludzie sądzą się wzajem powszechnie stronniczo:
 Ponieważ złe lub dobre tylko sprawy liczą;
 A nadto, w obu razach, jeden fakt lub pare,
 Stanowią dostateczną ich wyroków miarę.
 Nakoniec nie pytają o czynów pobudki,
 Lecz tylko złe lub dobre oceniają skutki.
 Ztąd, najcnotliwszy zresztą, dla jakiegś przywary,
 Lub jeśli go zawiodą najlepsze zamiary,
 Albo, kiedy go zręcznie jakiś oszust złupi:
 Okrzyczany ryczałtem jako zły i głupi!
 Przeciwnie łotr wierutny, warty szubienicy,
 Byle się raz przyodział w płaszczyk jakiegś cnoty,
 Albo hojną jałmużną zyskał dank hołoty,
 Staje się wnet bożyszczem dworów i ulicy!
 Niechże jeszcze z trybuny prawi śmiało duby,
 Albo o nich w dziennikach lub broszurkach plecie,

Źostatnie powitanie przed śmiercią.

Moriturus Te saluta!

Wprawdzie nie jestem ja Gladiatorem,
 Ni Ty Cezarem nie jesteś Panie:
 Wszelako mówiąc tamtego wzorem,
 Takie Ci daję dziś powitanie.
 Bo kosa śmierci pewniej zwycięża,
 Kiedy już ręka stara i chora,
 Niżli zadany cios od oręża
 Gladiatorowi przez Gladiatora.

Powinszowanie na imieniny.

Co rok nawykłem słuchać też same życzenia,
 Powtarzane statecznie w dniu mego imienia.
 Gdyby te, którem słyżał w pierwszym jeszcze roku,
 Były zaraz łaskawe uiściły nieba;
 Powtarzać je na nowo w następnych lat toku
 Byłaby już oddawna ustała potrzeba.
 Lecz wtedy gratulanci, zamiast płołnym fantem
 Obdarzać mnie, w nadziei na fortunę błogą,

9.

Cieszyliby się raczej wraź z Solenizantem,
 Ze mu odtąd już więcej nie życzyć nie mogą.
 Byłaby więc kontenta równie każda strona,
 A ja wielbilbym słusznie mojego Pátrona;
 Życząc oraz, by wszystkich ludzi córy, syny,
 Obchodzili na święty Józef imieniny.
 Gniewaliby się wprawdzie na mnie inni Święci,
 Widząc, że ich odbiegli dawniejsi klientci:
 Gniewaliby się także niemniej i księgarze,
 Że nie mają już kupców na czece kalendarze:
 Ale na tém publiczność zyskałaby cała,
 Boby sobie raz tylko na rok winszowała.
 Kiedy dziś codzień inny Święty albo święta,
 A czasem i oboje występują w parze.
 Ty musisz wartować ciągle kalendarze,
 Abyś wykrył klientkę onych lub klienta;
 I jeżeli ci osoby takiej firmy znane,
 Powtarzał im co roku vota oklepane.
 Wreszcie któż kiedy pyta swych Solenizantów,
 Czyli który wygrał coś z przeszłorocznych fantów?



Do P. N. gratulanta.



Jeżeli chcesz bym jeszcze pożył jakie lata,
 To praw mi nowe zęby, żołądek i nogi;
 I ~~nieś~~ oraz nędzny stan społecznego świata,
 Zduś despotów i zetrzyj dumnym ostre rogi!
 Iżbż nastał raz pokój za domem i w domu,
 Dobrze było każdemu, a krzywdy nikomu,

10

19

Bo inaczej przy takim jaki dziś nieładzie,
Gdzie się człowiek z troskami budzi i spać kładzie,
A do tego bez zębów i z kiepskim żołądkiem,
I z nogami, co już stać ni łązić nie mogą;
Dłuższy żywot byłby li dłuższym biedy wątkiem!
Lecz gdy moje żądania przechodzą twe siły,
Ja zaś czując z każdym dniem większą ich utratę,
Nie potrafiłbym dalej wlec się taką drogą:
Więc dziękując ci za twój upominek miły,
Wolę raczej porzucić tę dziurawą szatę
I tę scenę łotrowską, która mi obrzydła;
A przyodziać strój nowy — i przypiąwszy skrzydła,
Polecieć wnet na Olymp! gdzie w stałym pokoju
Żyją sobie Bogowie — bez trosków i znoju;
I nie czując, co to śmierć, starość i choroba,
Leżą, siedzą, latają — jak im się podoba.
Piją nektar, ambrozją żują zamiast chleba,
Na co zębów, ani też żołądka nie trzeba!
Tam przybywszy pozdrowię Jowisza z Junoną,
Potém zaś po kolei nieśmiertelnych grono,
I zasiadę natychmiast z nimi do biesiady,
I będę jadł, pił, hulał, leżał albo latał,
A nareszcie Boginiom różne figle płał —
Nota bene — ciągle zdrów bez doktorskiej rady!
Czasem jednak przylece i zajrzę na ziemię,
Abym widział, co też tam robi ludzkie plemię?
Czyli więc idzie naprzód? czyli w tył się cofa?
Czyli może potwierdza zdanie Filozofa:
Który mniema, że człowiek, przy wszelkim mozoł, —
Jak wół lub koń w deptaku, wciąż ~~se~~ kręci w kole? — 11
Mianowicie chcąc poznać — jak Napoleona
Uiszcza się proroctwo w staréj Europie;

Czyż despotyzm pod batem konstytucyi kona?
Czy téż Kozak z nahajką nogami ją kopie?



Do P. Szymona Dutkiewicza.



Profesor, Dziekan, Rektor, Komisarz rządowy
Wszelkich warsztatów, które obrabiają głowy;
Et caetera... a wreszcie Doktor zawołany
Między ubogim ludem i możnymi Pany;
Nienawidzony łotrom, ale dobrym miły;
Lecz wszystko to już niegdyś były, były, były;
Dzisiaj tylko Emeryt, stary Eremita,
I naoczny różnych głupstw i mądrości świadek:
Nim krzyknie wójt: Pójdź Kubo! bo już z tobą kwita!
Radby jeszcze zjeść z Tobą w kompanii obiadek.

Więc, jeżeli się podoba
I dogadza zresztą doba,
To skoro wybije druga,
Przyjdzie po Was dobry sługa.



Do tegoż.



Przy takim ranku — Warto mój Panku
Zapomnieć smutku, — I dla zabawki.

Napić się kawki — W moim ogródku.
A potem w chłodzie, — Przy dobrej wodzie,
Posmolić fajki, — Posłuchać bajki.
Boć baje stary, — Choć już bezzęby,
Dopóki mary — Nie zamkną gęby.
I wtedy basta! — Wyniosą z miasta
Pod Rakowice; — Zapalą świece,
Zadzwonią w dzwony, — Ksiądz antifony
Śpiewa z brewiarza, — Kropi i kadzi,
Kondukt prowadzi; — A organistą,
Tęgi basista — Za nim powtarza.
A gdy skończyli, — Tak w jednej chwili,
Ciemna chałupa — Połyka trupa.
Lata motyka, — Wali się glina;
Salve Regina — Scenę zamyka.
Potem zaś wszyscy, — Obcy i bliscy,
Starym zwyczajem — Rzucają gródką,
Modlą się krótko, — Ściskają wzajem.
Wreszcie żegnają — I z całą zgrają,
Wozem lub pieszo — Do domu spieszą,
W domu się smucą -- Albo weselą,
Albo też klóćą, — Gdy spadek dzielą.
Skoro zaś umilkną dzwony
I spadek już podzielony,
I trybunał dział uświęci;
To wnet i bazarz z pamięci
Szczecznie jak ten dymek z fajki;
Wreszcie sam pójdzie na bajki!



Odmowa zaprosin na obiad.

Przepraszam, że nie mogę przyjąć zaprosiny,
 A to z prostej, lecz ważnej ze wszech miar przyczyny.
 Albowiem obliczywszy właśnie treść mej gęby,
 Znalazłem, że w niej tylko jeszcze cztery zęby.
 Rozrzucone jak kółki po spróchniałym płocie,
 A i te wszystkie prawie codzień na wylocie.
 Przy takim inwentarzu nie dałbym se rady,
 I nie zrobił zaszczytu dla Pańskiej biesiady;
 Gdyż dając wciąż odprawki lokajom usługnym,
 Siedziałbym jak niemota nad talerzem próżnym;
 Poglądając zazdrośnie, jak dzielni rycerze
 Odmieniają za każdym półmiskiem talerze.
 Byłbym zatem zgorszeniem dla nich i czeladki,
 A musiałbym szczodrego gniewać gospodarza,
 Niemogących rozwiązać tak dziwnej zagadki.
 Nakoniec zdawałbym się obwiniać kucharza,
 Jakoby ten, z powodu w swojej sztuce braku,
 Nie zdołał zaspokoić wymyślnego smaku.
 Owóż pragnąc zapobiedz skutkom tak bezecnym,
 Wolę raczej przeprosić i nie być obecnym,
 Ufając, iż Pan uznasz słuszość mej odmowy.
 Zresztą jestem na wszelkie rozkazy gotowy,
 I przepraszając oraz za exkuzę długą,
 Zostaje z poważaniem uniżonym sługą.



Moja ostatnia rola i modlitwa.

Zakończywszy mój zawód w Jagiellońskiej szkole,
Wyzwolony od zgiełku i spraw tego świata,
Pędzę jak Eremita w ustroniu swe lata
I odgrywam ostatnią tego życia rolę:
Bez spółników, bez widzów— tylko w monologu,
Z obrachunku sumienia zdając sprawę Bogu.
Więc długiego żywota przechodząc koleje,
Roztrząsam i oceniam ściśle jego dzieje,
A przytem różnych ludzi na pamięć przywodzę,
Jakich napotykałem po téj krętej drodze:
Przyjaciół, nieprzyjaciół, i tych mnogie roje,
Co to zawsze gotowi dzielić się na dwoje,
Lecz najczęściej myśl tęskna za tymi ulata,
Których serca goręcej niegdys dla mnie były,
Ale dziś przywalone ciężarem mogiły,
Głuche na jęki syna, przyjaciela, brata,
Krzyżem tylko wskazują, gdzie szukać pociechy,
Póki sam nie opuszczę téj poziomej strzechy;
I póki Ten, co włada śród świata ogromu,
Nie połączy nas znowu w swym ojcowskim domu. lów
Tu ja Ciebie uwielbiam, tu składam Ci dzięki
Za wszystkie dobrodziejstwa i za wszystkie męki,
Jakiemiś mnie obdarzał albo chłostał Boże!
Od kolebki po dziś dzień, w każdej życia porze.
Tobie! iżeś przedłużył dotąd nie żywota,
I utrzymał tak ducha jak ciało przy sile;

Że mnie jeszcze do pracy zagrzewa ochota,
 I że nudów nie znają samotne me chwile;
 Że tyle i tak różnych bolesnych katuszy,
 Nie zdołały wszelako wyziębic mój duszy;
 Że jeszcze żar tkliwości w piersiach moich tleje;
 Że mnie hoża natura upaja rozkoszą,
 A losy nieszczęśliwych oczy moje rosą;
 Że dotąd żywię miłość, wiarę i nadzieję.
 O zachowaj mi Ojczy! te kosztowne dary,
 Dopóki nie dosnuję reszty życia wątku,
 I dopóki grobowe nie przybędą mury,
 By wynieść moje zwłoki z cichego zakątka,
 I przenieść do podziemnej, jeszcze cichszej chatki,
 Na wieczny odpoczynek u stóp drogiej matki!
 Wtedy duch nieśmiertelny pożegna tę ziemię,
 I przystrojon w świetniejsze eteryczne szaty,
 Puści się bystrym lotem w niezliczone światy,
 Zamieszkałe przez duchów coraz wyższe plemię.
 Tam on swoich odszuka i w błogim ich kole,
 Zapomniawszy na ziemskie mozoly i bole,
 Będzie kosztował szczęścia od wieka do wieka,
 Jakiego nie zna oko ni ucho człowieka;
 A jakie oczekuje każde Twoje dziecko,
 Które Cię miłowało Ojczy! na tym świecie.

Wtedy



Ostatnia rola i modlitwa starego Emeryta.

Zakończywszy mój zawód w Jagiellońskiej szkole,
Wyzwolony od zgiełku i spraw tego świata,
Pędzę jak Eremita w ustroniu me lata
I odgrywam ostatnią tego życia rolę;
Bez spółników, bez widzów— tylko w monologu,
Z obrachunku sumienia zdając sprawę Bogu.
Więc długiego żywota przechodząc koleje,
Roztrząsam i oceniam ściśle jego dzieje,
A przytém różnych ludzi na pamięć przywodzę,
Jakich napotykałem po téj krętéj drodze:
Przyjaciół, nieprzyjaciół, i tych mnogie roje,
Co to zawsze gotowi dzielić się na dwoje,
Lecz najmiléj myśl tęskna za tymi ulata,
Których serca goręcéj niegdyś dla mnie były,
Ale dziś przywalone ciężarem mogiły,
Głuche na jęki syna, przyjaciela, brata,
Krzyżem tylko wskazują, gdzie szukać pociechy,
Póki sam nie opuszczę téj poziomej strzechy;
I póki Ten, co włada śród światów ogromu,
Nie połączy nas znówu w swym ojcowskim domu.
Tu ja Ciebie uwielbiam, tu składam Ci dzięki
Za wszystkie dobrodziejstwa i za wszystkie męki,
Jakiemiś mnie obdarzał albo chłostał Boże!
Od kolebki po dziś dzień, w każdéj życia porze.
Tobie! iżes przedłużył dotąd nic żywota,
I utrzymał tak ducha jak ciało przy sile;

Że mnie jeszcze do pracy zagrzewa ochota,
 I że nudów nie znają samotne me chwile;
 Że tyle i tak różnych bolesnych katuszy,
 Nie zdołały wszelako wyziębic mój duszy;
 Że jeszcze żar tkliwości w piersiach moich tleje;
 Że mnie hoża natura upaja rozkoszą,
 A losy nieszczęśliwych oczy moje roszą;
 Że dotąd żywie miłość, wiarę i nadzieję.
 O zachowaj mi Ojcze! te kosztowne dary,
 Dopóki nie dosnuję reszty życia wątku,
 I dopóki grobowe nie przybędą mary,
 By wynieść moje zwłoki z cichego zakątku,
 I przenieść do podziemnej, jeszcze cichszej chatki,
 Na wieczny odpoczynek u stóp drogięj matki!
 Kiedy duch nieśmiertelny pożegna tę ziemię,
 I przystrojon w świetniejsze eteryczne szaty,
 Puści się bystrym lotem w niezliczone światy,
 Zamieszkałe przez duchów coraz wyższe plemię.
 Tam on swoich odszuka i w błogim ich kole,
 Zapomniawszy na ziemskie mozoły i bole,
 Będzie kosztował szczęścia od wieka do wieka,
 Jakiego nie zna oko ni ucho człowieka;
 A jakie oczekuje każde Twoje dziecko,
 Które Cię miłowało Ojcze! na tym świecie.



Przypiski do kilku osób.

Do PP. W. Pola i L. Siemieńskiego, jednobrzmiennie

Józef Brodowicz — staruszek
 Składa Panu ten wianuszek:
 Spleciony ręką Hipokrata syna,
 Lecz zbyt lichego w poezyi Adepty;
 Zatem nawykłą pisywać recepty,
 Ale nie władać lutnią Apolina.
 Tenby go pewnie, jak ongi Marsiasa,
 Złupił natychmiast całego ze skóry,
 Gdyby żył dotąd na górze Parnasa,
 I zakosztował téj ckliwój mixtury.
 Ale Ty Panie zwolnisz go od kary
 I nie odepchniesz ubogiéj ofiary.

Do P. Juliusza Florkiewicza.

Tytuł i wieniec obiecują kwiatki;
 Lecz ja uprzedzam szanowného Pana,

Że to fałszywe, podstawione świadki,
 I że to tylko prosta wiązka siana,
 Zebrana częścią w pierwszej wiosny porze,
 Na dzikim, twardym, jałowym ugorze;
 Ale najwięcej z potrawu w jesieni,
 Gdy liść pożółknie albo się czerwieni:
 Każ nią więc zatkać chyba dziurę w wieży,
 Gdzie Twój księgozbiór zachowany leży;
 Lub niechaj służy bocianom na kole,
 Albo też wróblom na gniazdo w stodole;
 Wreszcie niech pastuch pod bydło pościele
 Te liche, suche, pełne chwastu ziele.



Do P. Profesora Kozubowskiego.



Ty mnie częstujesz jabłkami i miodem,
 Ja Ciebie wzajem dzikich kwiatów płodem!
 Wszak szczepy z dziczków ciągną swe żywioły,
 A z polnych kwiatków zbierają miód pszczoły.
 Przyjmij je zatem do Twego ogrodu,
 Może w nich także znajdą trochę miodu?
 Lecz gdyby moje zawiodły domysły,
 To ciśnij z chwastem precz do starój Wisły.



Do P. Profesora Czerwiakowskiego.



Polnych kwiatków postać marna,
Ale za to pełne ziarna;
Ogrodowe hoże, tłuste,
Ale za to w ziarno puste!
Temi się ogrodnik chlubi,
Lecz botanik tamte lubi.
Tuszę sobie zatém śmieje,
Żeć się podoba me ziele?
Gdyby zaś wonią nie miłą
Nozdrza Twoje obrazilo,
To każ go z chwastem pospołu
Wrzucić do gnojnego dołu.



Do Pani Hrabiny Alfr. Potockiej.



Życzeniem było czcigodnej Hrabiny
Kupić w księgarni te dzikie rośliny,
Które nazrywał jedynie na dary,
Dla swych Przyjaciół wierszokleta stary;
A co on w takim rozmnożył zamiarze,
Tego nie mają na sprzedarz księgarze.
Wszak słysząc o tém życzeniu staruszek,
Sklada tu ze czcią swój prosty wianuszek,
Prosząc uprzejmie łaskawą Hrabinę,
Aby raczyła przyjąć tę daninę,

Lecz prosi oraz, racz pobłażać fraszkom,
 Wesolej chwili swawolnym igraszkom:
 Bo każdy człowiek, sprzeczny już z natury,
 Raz gada mądrze, to znów plecie bzdury;
 A nieraz nawet wtedy właśnie baje,
 Kiedy najmądrzej rozprawiać się zdaje.
 Zresztą żart letki śmieszy, lecz nie boli,
 Jeżeli od złej nie pochodzi woli.



Do P. Dra Ściborowskiego.

Skoro Ci się podobało
 Zostać moim Przyjacielem,
 Toć i mnie słuszną się zdało
 Obdarzyć Cię mojem zieleń:
 Bo tylko takiemu drogi
 Może być mój dar ubogi.



Do P. Ferdynanda Weigla,

Doznawszy Twój przyjaźni tak licznych zadatków,
 Składam Ci wdzięczném sercem wianek moich kwiatków,
 Ale proszę przebaczyć, że się w jego treści
 Dużo chwastu, a nawet trochę ostu mieści:

Gdyż nie mając na wybór dość swobodnej pory,
Zrywałem i splatałem różne dzieci Flory.
Wyrzuć zatém, cooby się obraźliwém zdało,
A zachowaj łaskawie lepszą częśćkę ziela.
Ażeby Ci nawiasem chociaż odświeżało
Pamięć na rzetelnego Twego przyjaciela.



Do P. Julii z Grodzickich Rzewuskiej.



Stary Brodowicz, ukryty w zaciszy,
Skoro zasięgnął pewnej wiadomości,
Że Pani Julia znów w Krakowie gości,
Spiesz Jój donieść, że dotychczas dyszy.
A wdzięczny stale za doznane względy,
Prześła oraz tytułem kolendy
Dwoje swych dziątek, już dawno splodzone,
Ale z umysłu w skrytości tajone.
Lecz które wreszcie, z przyjaciół namowy
Wypuścił na świat ojciec zbyt surowy;
Wskazawszy jednak szczupłe osób grono,
Jakie zapoznać jest im dozwolono;
Racze je grzecznie przyjąć na twym dworze
I każ zamieścić w swoim księgozbiorze,
Choćby na półce wśród piśmiennych kmieci —
A uradujesz tak ojca jak dzieci.



Do P. Adama Gorczyńskiego.

Zacny Synu zacnej Matki!
 Skoro Ci się podobały
 Moje liche polne kwiatki;
 Niechże służą w dowód mały
 Czułej na Matkę pamięci
 I przyjaznych k' Tobie chęci.
 Przebacz tylko, że w ich wianku
 Dużo pyżu i rumianku!
 Boć to aptekarska Flora
 Najmiliej wabi Doktora.



Do P. N.

Jako twarz często u ludzi,
 Tak na książkach tytuł ludzi;
 Więc i tu nie wierz facyacie,
 Dopóki nie zbadasz środka;
 A potem orzekaj bracie:
 Czy tytuł prawda — czy plotka?



moje
baje

czay

bił
lacy

przy
do
182

piws
odta

Alp
jój
zaw
nicz

Objaśnienia.

Str. 1. Wszystkie te próbki należą do r. 1810, a 20 mojego życia. Nie znałem wtedy z literatury polskiej oprócz bajek Krasickiego i trochę poezji Karpińskiego.

Str. 3 i 4. Oba moi spółucznie od małych szkół począwszy.

Str. 5. Młody leśniczy ale zabiegły gospodarz, dorobił się istotnie znacznego majątku i sprawdził moją gratulację.

Str. 8. Dr. Herberski z Wilna 1818 r. do Wiednia przybył a z tamtąd w dalszą podróż udał się. Wróciwszy do domu zajął katedrę kliniczną po Józefie Franku w r. 1823, lecz w krótko umarł.

Str. 9. Przepauzowawszy 30 lat, i w r. 1850 ustąpiwszy z katedry, skłécilem ten program dla siebie, który odtąd ciągle egzekwowałem i sprawdzałem.

Str. 16. Wildbad Gastein — Cieplica w Salzburgskich Alpach, wysoko położona, gdzie także kopią złoto. Woda jój do 38°R. gorąca, ledwie jakieś pierwiastki chemiczne zawiera. Lekarze tamtejsi przesadzając jój dzielność, ograniczają skrupulatnie każdą kąpiel do kilkunastu minut, a

całą kuracyą do 21 dni. Szczupła ilość mieszkań i łazienek, nie wystarczających na jednoczesne pomieszczenie dużej liczby gości, nie mały udział w tych restrykcyach. Atmosfera i wegetacya alpejska wspierają szczególnie dzielność téj thermy.

Str. 21. Z tą pieśnią wyprawilem w świat mojego stryjecznego wnuka Wład. B. który się przy mnie chował.

Str. 22. Zabawna ta kuracya stolka wydarzyła się w ogólnym szpitalu wiedeńskim.

Str. 28. Był to niegdyś zamek bardzo warowny, do pp. Kińskich należący; którzy atoli mieszczanom Teplickim bardzo dokuczali. Jeden z nich, szwagier Wallensteina, wpłątany w rokosz tego wodza, zabity został wraz z nim zdradziecko w Egrze. Poczém Ces. Ferdynand skonfiskował jego majątek a zamek minami kazał rozsadzić. Ogromna ruina ma jakieś podobieństwo do ruiny Tenczyna. W pozostałych kazamatach mieszka od wielu lat gospodarz miejscowy, którego tu wiernie opisałem.

Str. 40. Dama ta udała się do Teplic za moją radą; gdzie wyjechawszy konno na spacer, od spłoszonego rumaka angielskiego rozniesioną została. Hr. Choa. piękny wystawił jój pomnik na tamiecznym cmentarzu.

Str. 41. Tamże wykryłem grób tego niemieckiego literata, który zmuszony służyć wojskowo Anglikom i Prusakom, w końcu był sekretarzem generała Igieselstroma, i jako taki obecnym przy powstaniu Warszawy i rzezi na Pradze. Umarł 1810 r., zwiedziwszy pieszo całą prawie Europę.

Str. 41. Tak nazywa się jedna z pobliskich wyżyn.
'Ob. str. 104.

Str. 42. Jest to lekarz od pół wieku w Teofipolu zamieszkały, synowiec mojego niegdyś prof. K. F. Hartmanna.

Str. 43. Szczególny ten obrazek, na kamieniu malowany, znajduje się w Sielcu, wsi do OO. Karmelitów na Czerny należący. Poznałem ten antyk, nawiedziwszy zanego Przeora ś. p. Jks. Klugera.

Str. 49. Przypisek do dzieł Schillera, danych na pamiątkę drugiemu mojemu stryjecznemu wnukowi, kiedym go w świat wyprawiał. Atoli nie długo cieszył on się tém darem, bo już w r. 1862 umarł ten młodzieniec, pełen najpiękniejszych talentów ducha i serca. Ob. str. 53. 54. 55.

Str. 55. W rok po tamtym zgasł nagle w moich rękach, i do tego w dzień moich urodzin, mój domownik i nierozdzielny przyjaciel przez lat 40 z górą L. K. „Altera pars animae me.“

Str. 56. Znany Warszawie i całej Polsce artysta, od r. 1819 do śmierci stateczny przyjaciel. Zmarł także nagle, zajęty drzeworytem!

Str. 61. Do trzech dusz, odpowiednich trzem kunsztom, w jakich ten mistrz celował, dodano mu jeszcze czwartą poetyczną.

Str. 62. Tłomaczona z tłumaczenia niemieckiego.

Str. 63. Powód do tego dał „nowy komeniusz“ w Więdniu 1861 anonime wydany; w którym obrazek lekarza w najczarniejszych kolorach skreślony znajduje się.

Str. 93. Cała moja galeryjka składa się z samych pamiątek.

Str. 95. Buk ten już bardzo zniszczony stał przy ścieżce do „szwajcarskiego domu“ a resztki kory onego były pokryte licznymi cyframi. Owóz wypoczywając na ławce, naprzeciw tego starca będącój, przemawiałem do niego w ten sposób, naturalnie po niemiecku, jako do niemieckiego drzewa.

Str. 104. Książę de Ligne, feldmarszałek austriacki, usunąwszy się wcześniej od życia publicznego, żył długie

lata na ustroniu, mianowicie w Nussdorf, wsi położonej nad Dunajem tuż pod górą św. Leopolda, przy Wiedniu. W ruinie na tej górze kazał sobie parę pokoi wyporządzić i tam lubił często przebywać i dumać; a niektóre swoje pomysły zrymowawszy i na czarnych drewnianych tablicach zapisawszy, takowe tu i ówdzie porozwieszał. Te sobie od-
pisałem i szczęśliwie dotąd zachowałem, gdyż owe tablice już dawno znikły. Do tych należy wiersz na cześć Sobie-
skiego tu zamieszczony, i drugi następujący:

Loin des grandeurs et du bruit de la ville,
De tout genre de passion,
Surtout de folle ambition,
Goutez ici le bonheur pur et tranquil,
Oubliant tout excepté les charmans souvenirs
Du bien que l'on a fait et des innocens plaisirs.
Et c'est ici qu'au sein de la philosophie,
Sans crainte, sans remords, et les moindres desirs,
On peut passer et bien finir sa vie.

który cechuje dobitnie ducha tego księcia, znanego z zac-
nego charakteru i jędrnego dowcipu, którym nie raz chło-
stał dumę zubożałej arystokracji i polityczne wypadki.
W czasie zajęcia Wiednia przez Francuzów, zmuszony roz-
kazem komenderującego wywalić się **po za linie**, (tak na-
zywa się mur, miasto i przedmieścia okalający), zegnał swo-
ich znajomych biletami z napisem: *Le prince hors de Ligne*.
Umarł podczas kongresu, o którym powiedział: „*Le congrés
danse, mais il ne va pas*“ i cieszył się, że do widowisk,
jakie bawiły wtedy ówczesnych ojców ludów, przybędzie
jeszcze widowisko „pogrzebu feldmarszałka!“

Str. 105. Bignon poseł francuzki w Warszawie za
księstwa.

Str. 107. Prezydent stowarzyszenia „duchomowców“.

Str. 108. Haller, jeden z najuczeńszych lekarzy, fizyologów i botaników zeszłego wieku, a przytém piękny filozoficzny poeta.

Str. 109. Joung autor „nocy“, Nicolas „studiów filozoficznych o Chrystyjanizmie“; Rückert poeta niemiecki z ostatnich czasów.

Str. 110. Wessenberg Henryk, wychowaniec prymasa niemieckiego Dalberga i jego wikary na biskupstwie w Konstancyi, jeden z najgruntowniejszych teologów i najzacniejszych kapłanów. Wydał dużo bardzo cennych dzieł, a między tymi ostatnie pod tytułem: „Gott und Welt“, tudzież 8 tomów ślicznych poezyi.

Str. 114. Czcigodny człowiek pod każdym względem, w latach 1848/9 minister finansów, umarł nagle na przechadzce.

Str. 115. Przypisek do widoków przez ś. p. znanego artystę Głowackiego rysowanych.

Str. 116. Dziwić się trzeba, że to urocze siedlisko, mało jest nawidzane.

Str. 128. Fakt rzeczywiście.

Str. 136. Obacz str. 16.

Str. 137. Zaczny kolega i stary mój przyjaciel, mieszkał nad apteką, ale nie wierzył w lekarstwa. Tem więcej palił cygar.

Str. 138. W kościele OO. Bernardynów znajduje się „Taniec śmierci“ może przed 200 laty przez zakonnika Lekszyckiego malowany. Brakuje w nim doktora i aptekarza, jakich znajdziesz we wszystkich tego rodzaju obrazach. Bydź może, że malarz bał się doktora; a był w przyjaźni z aptekarzem? Jakkolwiek bądź, Pan prof. Wojnarowski skompletował bardzo wybornie ten brak na moją prośbę, a ja dorobiłem podpis w guście podpisów tam zamieszczonych.



Nac
Cen
Do
Do
Do
Bie
My
Dro
Dol
Do
Jak
Pro
Sta
Nac
Roz
Slo
Cza
Cen
Prz
Poc
Tal
Wic
Ulu
Cie
Pie
Ana
Wic
Prz

TREŚĆ.

	Str.
Nadgrobek mojego ojca	1
Cena rozumu	2
Do Bazylego S.	3
Do Tomasza Dobrzańskiego	4
Do Michała J.	5
Bieda do pani A. B.	6
Myśli nad strumykiem	7
Drogi do cnoty	7
Dola starców	8
Do pamiętnika — prof. Herberskiemu	8
Jak poznać drugich i siebie	8
Program na starość	9
Stary do młodego	11
Nadzieja	12
Rozkosz i ból	13
Słowa wiary	13
Czas	14
Cena fantazyi	15
Przestrzeń	15
Podróż do Gastunia	16
Tabula votiva	18
Wiara w cuda	18
Ułudy młodości	19
Cierp a milcz	20
Pieśń pielgrzyma	21
Anakreontyk w jesieni	22
Wieczór w jesieni	24
Przestroga przy sądzeniu ludzi	26

Do przyjaciół	26
Na pamiątkę majówki 1856 r.	27
Odpowiedź J. B. do W. P.	28
Post scriptum — z pokorną supliką	30
Do pana Szymona	30
Moja narada z doktorem i rozmowa ze stolarzem	31
Do pana Szymona D.	34
Do tegoż	37
Pierwsze myśli	37
Do Teplickiej Najady	38
Przy ruinach starego zamczyska	38
Jego wysokość — p. Gschwind, gospodarz na tym zamku	39
Przy grobie hrabiny Choisel-Gouffier, z domu Niesiołowskiej	40
Mont de Ligne	41
Przy grobie poety niemieckiego Seume	41
Do Dra Józefa Hartmanna	41
Obrazek przedstawiający Świętą Rodzinę praniem zatrudnio- ną. — Objaśnienie	43
Deucalion i Pyrrha	44
Praca i ból — źródłem rozkoszy	45
Różny wiek, różne cele	46
Praeterita certa. Praesentia dubia. Futura ignota	47
Przyjaciele	47
Szczególny dowód przyjaźni i stoicyzmu	48
Do Dra Józefa Stanisławskiego	48
Do Aleks. Brodowicza	49
Do tegoż. — Po odjeździe z mego domu	49
Tęsknota w samotności	50
Zadanie szkoły	51
Bibliomania	51
Nemesis	52
Do młodego	52
Znikomość	22
Nadgrobek Aleksandra Brodowicza	53
Tęsknota za nim	54
Pamięci Ludwika Koturby	54
Dwie śmierci — dwa bóle	55
Nadgrobek J. Piwarskiego	56
Dumania starca w dniu urodzin	56
Nie badaj przyszłości	58
Człowiek Trójca Boża — albo szatańska	58

Mieliśmy świeżo w ręku nowy zbiór poezyj, a raczej nową wiązkę „kwiatów polnych“, bo tak je sędziwy tytułuje autor. Tytuł odpowiada treści, nie odznaczają się bowiem te kwiatki, ani barwą zbyt jaskrawą, ani kształtem nie przypominają tych gatunków, które w ogrodzie poezji naszej schodzą jeszcze niekiedy z ziarna, co pozostało z posiewu dawniejszego. „Kwiatki polne“ natomiast, mają tę słodką woń łąnów naszych i tę prostotę, która może nie wszystkim odpowiada wymaganiom sztuki, ale ma technienie natury. Lecz rzecz dziwna: nie zbierał ich młody marzyciel wśród pól i łąk, ale na bruku miejskim sędziwy weteran nauki, nestor naszych lekarzy, który po długiej służbie dla miasta, uniwersytetu i cierpiącej części społeczeństwa, zaszczytnego używa wypoczynku wśród swoich. Któż z Krakowian nie odgadnie białego staruszka, który dochował jakby na stwierdzenie nauki, jakiej się poświęcał, a na świadectwo pięknie przebitego żywota, czerstwość ciała i młodość duszy, że jeszcze dosiada lekko Pegaza.

Niezwykła to jazda dla synów Eskulapa młodziej zwłaszcza szkoły, która tonie w materyalizmie; rzadki zaś fenomen weny poetyckiej, gdy już ośm na karku zacieży krzyżyków. A jednak starość jak jesień pokrywa się niekiedy wiośnianém kwieciami, gdy jej liście nie żółkną pod wpływem ostatnich człowieka namiętności, które trzymają się najdłużej.

Sędziwy poeta wprawdzie przyznaje się do ostatniego złudzenia:

Zmędrzały starzec mniema, iż własnymi siły
Pokonał złe nałogi, które go więziły,
Aleć to samolubnej złudy przesąd błogi:
Bo gdy już zwiędłe ciało do upadku dąży
I krew jego ostygła coraz wolniej krąży,
Nie on rzuca, lecz jego rzucają nałogi.

Zaprzeczyć winniśmy tym słowom, bo są nałogi i namiętności, które i zwiędłego trzymają się ciała i potęgują się aż do grobowej deski. Czasem miłość własna budzi się spóźniona i miota wewnętrznym niepokojem słabnącego ducha. Obok skromnych kwiatków polnych położmy legendę wieków Wiktora Hugo, lub jego napuszyste wiersze do wnuków, a przekonamy się, że i wiek sędziwy ma swoje szale, trawiące gorączki i miotanie się namiętne pychy, która niczem nasycić się niemoże, bo nie ma przystani

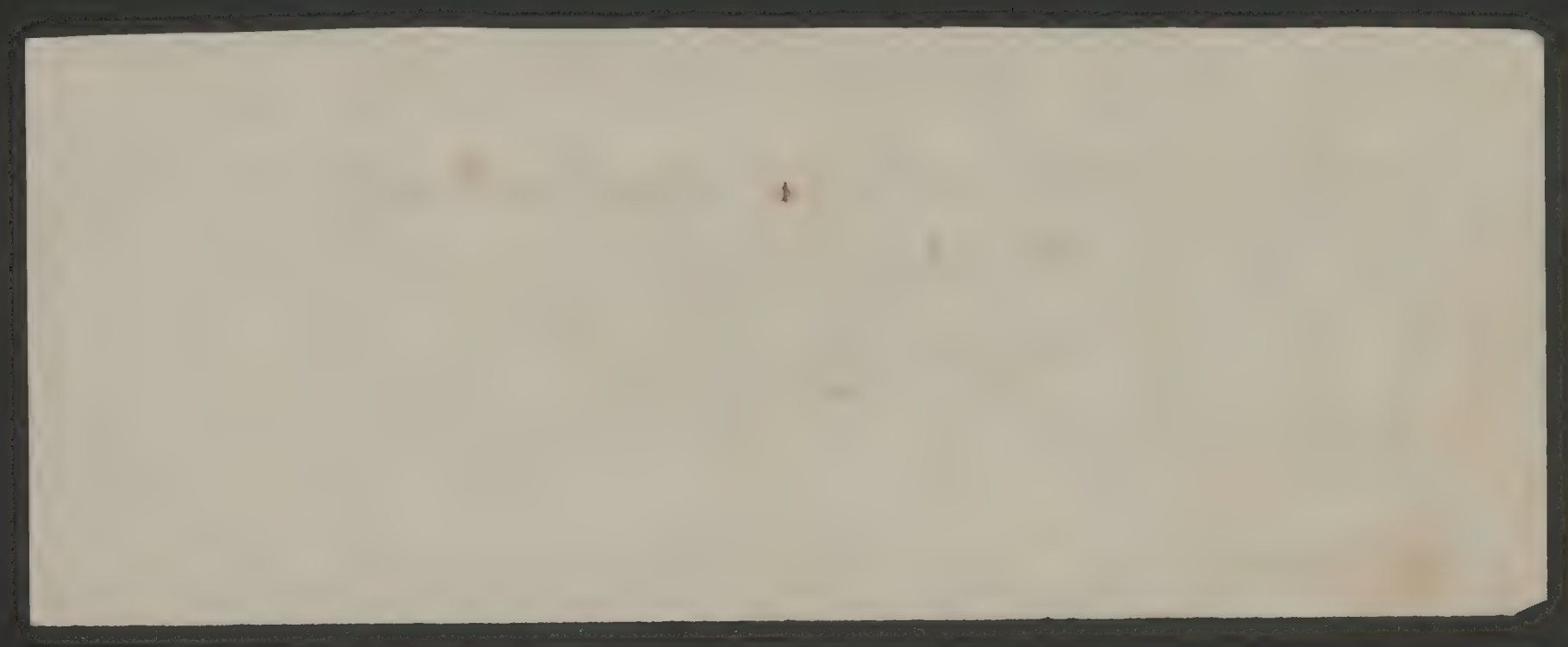
wiary. Nie bardziej odrażającego, nad podobną grudiową burzę ducha — nie piękniejszego nad spokój dobrze zasłużonego starca, który spłaciwszy dług życia, spogląda pogodnie na świat zachowując całą siłę umysłu. Jakże często w starości dochodzi się dopiero do zupełnej prawdy, którą się omijało wśród walk czynnego jeszcze życia, lecz zdobycz ta spóźniona niezawsze zdoła wynagrodzić obłądy dawniejsze. Jeżeli w wieczności zmartwychstaną nasze ciała w pełni swego rozwoju, a więc w młodzieńczych kształtach, to duch co nie umiera, przejdzie w drugie życie takim, jakim był u kresu ziemskiej wędrówki.

Lecz do tajemnic nieśmiertelności doprowadziły nas wdzięczne i wonne kwiatki polne, a chcieliśmy tylko wspomnieć, że poeta zaczyna je od obrazu jednego z przedmieść krakowskich. Z domku na Wesołej za wzrokiem goni myślą i przechodzi kolejno cierpienia ludzkości, gdy spogląda na okalające go szpitale; sąsiedni Teatr letni nasuwa mu spostrzeżenia o komedyi świata; Ogród Strzelecki daje mu temat do kalejdoskopu przesuwającej się publiczności; patrząc na klasztory wznosi się do tajemnic wiary, a wreszcie pochody ciągnących pogrzebów budzą tęsknotę do ostatniego odpoczynku.

Odbicie z Nru 169 „Czasu“ z dnia 28 Lipca 1877 r.



22
Dear Lady — This letter will be
the only one, except the one in my
pocket, which I have written.



1

Charakter.

Myśli, uczucia, chęci, czyny — są to cechy cztery,
Z jakich się układają ludzkie charaktery:
Różne według zgodności onych lub niezgody,
Zrodzonej z różnej czleka każdego przyrody;
Tudzież różnych stosunków, jakich doznać może
Tenże w życia swojego rozmaitej porze.
Najwięcej go odmienna sam zawód społeczny,
Tak jak siła żywotna ciało w każdym wieku:
Ztąd rzadko twarz młodzieńca poznasz w starym czleku
Jeszcze rzadziej tenże sam charakter stateczny;
A nieraz czas oboje tak dalece zmienia,
Że przy śmierci poznasz go już tylko z imienia.

21

Do Pana Władysława Klugera,
Profesora przy uniwersytecie Peruńskim w Limie.
Przy odesłania mu fotografii.

Niechaj Ci ten obrazek stawi przed oczyma
Przyjaciela Twojego, Matki i Ojczyma;
Tudzież Żony, jak równie Jój Ojca i Matki,
Którzy Cię zaliczyli między swoje dziatki.
Przytóm życzę ażeby w Peruńskiej Limie
Twoje plemię zaszczytne zostawiło imię;
A gdy do rodzinnego powrócicie gniazda,
Niech wam stale i długo szczęścia świeci gwiazda;
Wreszcie sytych ziemskiego żywota słodczy
Niech Bóg do swoich dzieci w Niebiesiech zaliczy.

D. 25 Kwietnia 1878 r. w Krakowie.

3

Tęsknota.

Gdybym sam jeden czuciem oblatzony
Zamieszkał martwy wokoło świat cały --
Wmarzałbym duszę w twarde zimne skały
Tuląc do piersi tęsknemi ramiony.

We cześć powietrza ziewałbym me jęki,
A słysząc, że je powtarzają echa,
Mniemałbym, że to słodka jest pociecha,
Którą współczucie śle na moje męki.

Z Schillera.

CHAPTER I

The first part of the book is devoted to a general survey of the history of the English language. It begins with a discussion of the early forms of the language, such as Old English and Middle English, and then proceeds to a more detailed examination of the changes that have taken place in the language over the centuries. The author discusses the influence of various factors, such as contact with other languages and internal changes, on the development of the English language.

CHAPTER II

The second part of the book is devoted to a study of the grammar of the English language. It begins with a discussion of the parts of speech, and then proceeds to a more detailed examination of the various grammatical constructions used in the language.

The third part of the book is devoted to a study of the syntax of the English language. It begins with a discussion of the basic sentence patterns, and then proceeds to a more detailed examination of the various syntactic constructions used in the language.

CHAPTER III

The fourth part of the book is devoted to a study of the semantics of the English language. It begins with a discussion of the meaning of words and phrases, and then proceeds to a more detailed examination of the various semantic constructions used in the language.

CHAPTER IV

4
Dziś a niegdyś.

Niegdyś zbyt nawiedzany od znajomych tłumu,
Korzystających z mego mienia lub rozumu;
Dziś żyję niby stary w puszczy eremita,
Kędy chyba zbłąkany wędrowiec zawita:
Albowiem ci, którzy mię rzeczywiście czcili
I w mojem towarzystwie smakowali sobie,
Więc i mnie towarzysze czcigodni i mili,
Wszyscy prawie już dawno spoczywają w grobie.
Z tych zaś którzy tu jeszcze na téj ziemi goszczą,
Jedni się o starego zupełnie nie troszczą,
Drudzy się wybierają lecz wybrać nie mogą,
Inni znowu daleką ekskuzują drogą
Do mojego mieszkania; innym mnogie sprawy
Urzędowe jak niemniej domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągłej chęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmielszej zabawy;
Ale skoro naglejszój zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić — lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uścić ze słowa,
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.
Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbalstwa winy,
Z jakiegokolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam niechaj się nie trudzą
Z wizytą do żywego ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakałarza:
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.

5
Spacer po cmentarzu.

Kiedy chodząc wśród cmentarza
Przy jakimbądź staniesz grobie —
Czy to pański czy ubogi —
Każdy ci zmarły powtarza:
Co mnie dzisiaj jutro tobie.
Nie waż lekce téj przestrogi,
Bo umarły prawdę gada,
Tylko w ustach żywych zdrada.
Czyś ty więc młody lub stary,
To śmierć bez względu na lata
Wybiera swoje ofiary
I na koniec wszystkich zmiata.

Spacer po cmentarzu.

Kiedy chodząc wśród cmentarza
Przy jakimbądź staniesz grobie —
Czy to pański, czy ubogi —
Każdy Ci zmarły powtarza:
Co mnie dzisiaj, jutro tobie.
Nie waż lekce téj przestrogi,
Bo umarły prawdę gada,
Tylko w ustach żywych zdrada.
Czyś ty więc młody, lub stary,
To śmierć bez względu na lata
Wybiera swoje ofiary
I nakoniec wszystkich zmiata.

Do Pana Władysława Klugera,
Profesora przy uniwersytecie Peruańskim w Limie.
Przy odesłaniu mu fotografii.

Niechaj Ci ten obrazek stawi przed oczyma,
Przyjaciela Twojego, Matki i Ojczyzna;
Tudzież Żony, jak równie Jój Ojca i Matki,
Którzy Cię zaliczyli między swoje dziatki.
Przytém życzę, ażeby w Peruańskiej Limie
Twoje plemię zaszczytne zostawiło imię;
A gdy do rodzinnego powrócicie gniazda
Niech wam stale i długo szczęścia świeci gwiazda.
Wreszcie sytych ziemskiego żywota słodyczy
Niech Bóg do swoich dzieci w Niebiesiech zaliczy.

D. 25 Kwietnia 1878 r. w Krakowie.

M. J. Bredowicz.

Dziś a niegdyś.

Niegdyś zbyt nawiedzany od znajomych tłumu,
Korzystających z mego mienia lub rozumu;
Dziś żyję niby stary w puszczy eremita,
Kędy chyba zbłąkany wędrowiec zawita:
Albowiem ci, którzy mię rzeczywiście czcili
I w mojem towarzystwie smakowali sobie,
Więc i mnie towarzysze czcigodni i mili,
Wszystcy prawie już dawno spoczywają w grobie.
Z tych zaś, którzy tu jeszcze na téj ziemi goszczą,
Jedni się o starego zupełnie nie troszczą,
Drudzy się wybierają, lecz wybrać nie mogą,
Inni znowu daleką ekskuzują drogą.

27
Do mojego mieszkania, Innym mnogie sprawy
Urzędowe jak niemniej domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągłej chęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmielszej zabawy;
Ale skoro naglejszej zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić, lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uiszczyć ze słowa,
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.
Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbalstwa winy,
Z jakiegokolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam niechaj się nie trudzą
Z wizytą do żywego ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakalarza:
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.

3 Tęsknota.

Gdybym sam jeden czuciem obdarzony
Zamieszkał martwy wokoło świat cały --
Wmawiałbym duszę w twarde zimne skały
Tuląc do piersi chłodnymi ramiony.

We cześć powietrza niewielbym me jęki,
A słysząc, że je powtarzają echa,
Myślałbym, że to słodka jest pociecha,
Którą współczucie śle na moje męki.

Z Słillera.

Znikomość.

Mienia się czasy, mienia się umysły,
A tych, co wczoraj jeszcze węzeł ścisły
Wiecznej zdawało się łączyć przyjaźni,
Już dziś zwolniony ten węzeł ich drażni.

Nic nie jest stałym pod okręgiem słońca!
Co ma początek, wszystko czeka końca;
Nawet niewinne budowle twój duszy
Prędzej lub później ząb czasu pokruszy.

Boże! i na cóż ducha mego dary,
Jeżeli wszystko plód znikomój mary?
Nie mrucz, ozwał się mój duch silnym głosem:
Jam nieśmiertelny, wieczność moim losem.

Komu szlachetne czucie piersi wzdyma,
Ten wewnątrz siebie nosi utwór świata,
Gdzie żadnej burzy zgroza miejsca nie ma.

Mathisson.

Dear Sir,
I have the honor to acknowledge
the receipt of your letter of the 14th inst.
and in reply to inform you that
the same has been forwarded to
the proper authorities for their
consideration. I am, Sir, very
truly, your obedient servant,
J. H. [Signature]

Do mojego mieszkania. Innym mnogie sprawy
Urzędowe, jak niemniej domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągłej chęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmielszej zabawy;
Ale skoro naglejszej zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić; lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uiścić ze słowa
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.
Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbalstwa winy,
Z jakiegokolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam, niechaj się nie trują
Z wizytą do żywego, ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakalarza;
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.

Tęsknota.

Gdybym sam jeden czuciem obdarzony
Był rzucon w pośród utwór światła cały —
Marzyłbym żywot w otętwiałe skały,
Tuląc je czule chciwymi ramiony.

We cześć powietrza ziewałbym me jęki,
A słysząc, że je powtarzają echa,
Myślałbym, że to słodka jest pociecha,
Którą współczucie śle na moje męki.

Z Szillera: *Deutsche Schriften* II. 1. B. 386.

Znikomość.

Mienia się czasy, mienia się umyły,
A tych, co wczoraj jeszcze węzeł ścisły
Wiecznej zdało się połączyć przyjaźni,
Już dziś zwolniony ten węzeł ich drażni.

Nie nie jest stałem pod okręgiem słońca!
Co ma początek, wszystko czeka końca —
Nawet niewinne budowle twój duszy
Prędzej lub później zab czasu pokruszy.

Boże! na cóż ducha mego dary,
Jeżeli wszystko plód znikomą mary?
Nie mruż śmiertelny! — rzekł ktoś silnym głosem —
Cnota człowieka nie jest zmienną łossem.

Komą szlachetne czucie piersi wzdyma,
Ten wewnątrz siebie nosi utwór świata,
Gdzie żadnej burzy zgroza miejsca nie ma.

Mathisson

Charakter.

Myśli, czucia, chęci, czyny — są to cechy cztery,
Z jakich się układają ludzkie charaktery:
Różne według zgodności onych lub niezgody,
Zrodzonej z różnej człeka każdego przyrody,
Tudzież różnych stosunków, jakich doznać może
Tenże w życiu rozmaitej porze
Najwięcej go odmienia sam zawód społeczny;
Tak jak siła żywotna ciało w każdym wieku:
Stąd rzadko twarz młodzieńca poznasz w starym człeku
Jeszcze rzadziej tenże sam charakter stateczny;
A nieraz czas oboje tak dalece zmienia,
Że przy śmierci poznasz go już tylko z imienia.

1000

1000

1000

1000

1000

GIEŁDA.

Nowy rodzaj handlarstwa wszędzie się dziś iści:
Towar został pieniądzem, kupcami giełdziści;
A jako zwykły towar kramarze fałszują,
Tak na giełdach meklery akcyami szachrują.
Codzień zatem bankructwa, codzień nowe banki,
Codzień draby z bogaczów, codzień z drabów panki,
Niechże jeszcze czas jakiś dziki szal bankowy
Zawraca równie głupim, jak rozumnym głowy,
To cała Europa takim jadem struta,
Wkrótce na olbrzymiego wyrósł bankruta,
A stosy kolosalne akcyjnych papierów,
Będą piece ogrzewać ubogich bankierów,
Lub służyć na zapałki dla wściekłej komuny,
Iżby mogła rabować wśród pożarów łuny.



DROGA DO SZCZĘŚCIA.

Jeżeli chcesz być szczęśliwym i mieć pokój duszy,
To niechże chciwość złota głowy twój nie suszy,
Ani piersi zazdrosna nie rozpiera pycha,
Która tylko czczym dymem zaszczytów oddycha.
Nie troszcz się, co na ziemi robią wielkie pany;
Ty siedź cicho w ustroniu mało komu znany.
Dość, jeżeli poczet szczerych przyjaciół malutki
Podziela twoje losy, pociechy i smutki;
Jeżeli sąsiad o tobie nie rozsiewa plotek,
Możny cię nie znieważa, a poważa kmiotek,
Ażebyś miał to, czego każdemu potrzeba:
Odzież, ciepłą komórkę i kawałek chleba,

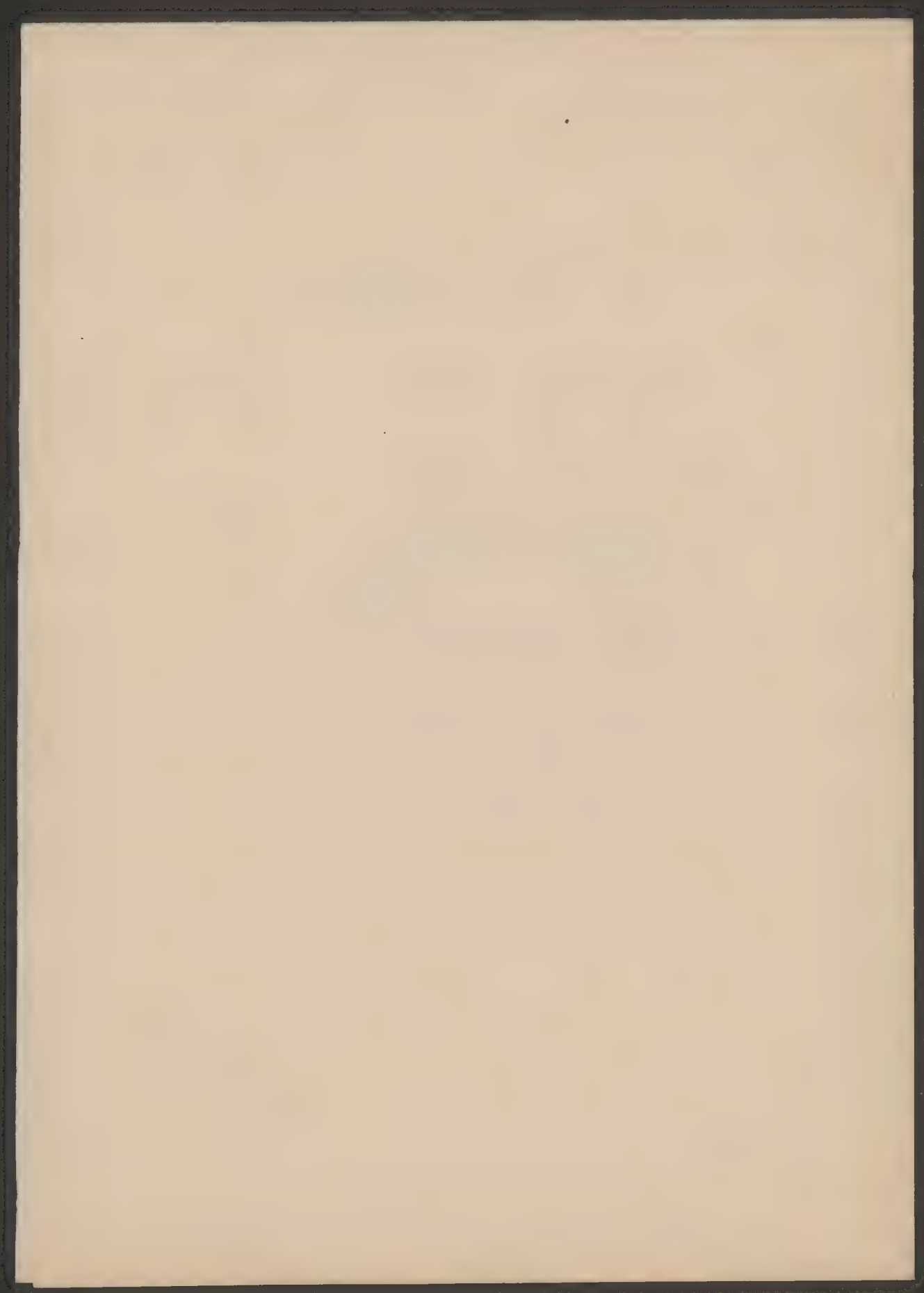
Więc nie doznał ubóstwa, ni pogardy męki,
Żebrząc lichęj jałmużny z miłosiernéj ręki,
Lecz z poczuciem swobody i własnéj godności,
Mógł śmiało spojrzeć w oczy króla Jegomości:
To pracuj wciąż ochoczo w obranym zawodzie,
Nie trwoń sił nadaremnie, bój się czasu straty,
A nie braknie ci nigdy na słusznój nagrodzie,
Bo poczciwy robotnik wart swojej zapłaty.
Poczém używaj miernie twojego dobytku,
Chroniąc się równie skąpstwa, jak marnego zbytku,
A cokolwiek oszczędzisz na własnéj potrzebie,
Rozdaj zaraz pomiędzy uboższych od ciebie.
Nie rób więc, jak ów głupiec, który pracowicie
Wśród kłopotów i trosków spędza całe życie,
Aby umarł bogaczem i był chowan szumnie
W murowanym grobowcu i złożonéj trumnie,
I żeby spadkobierca bogatéj szkatuły,
Okazałym pomnikiem głosił potomności
Jego imię, nazwisko, herb i czeze tytuły,
Tudzież miejsce, gdzie robak toczy pańskie kości,
Póki czas, który wszystko gryzie i połyka,
Nie pożre wreszcie także głośnego pomnika;
Ty skończ na tem ostatnie żywota mozoły,
Byś umierał bez długów, chociaż zresztą goły,

I w drewnianej trumience spoczął w ziemnym grobie,
A trwały żal znajomym zostawił po sobie.

Atoli nadewszystko czcij i miłuj Boga,
Kochaj bliźnich, a nawet znoś miłośnie wroga,
Gdyż Bóg, źródło miłości i Bóg Ojciec świata
Natchnął także jój duchem wszystkie swoje twory;
Miłością Go aniołów uwielbiają chóry,
Ona ich między sobą, z nimi ludzi brata.
Miłość więzi kochanków w uroczę kajdany,
Biedny ten, kto nie kocha i nie jest kochany,
A najbiedniejszym z biednych zwać trzeba zaiste
Rozkochanego w sobie samym egoistę.
Miłości głosem wzajem wabią się zwierzęta —
Ona nieme rośliny w swoje sidła pęta,
A nawet jakiś pociąg tajemniczy, miły,
Skupia luźne pierwiastki w różnokształtne bryły.
Zgoła, pozbaw stworzenie téj miłosnej duszy,
A świat cały zaraz się w atomy rozprószy.

M. J. B.

d. 27 Czerwca 1874 roku.



WALKA DUCHA Z CIAŁEM.

Duch i ciało w ciągłej wojnie
Od kolebki aż do grobu :
Bo sprzeczna natura obu
Nie daje im żyć spokojnie ;
Tylko że znikome ciało
Zmienia z laty swą przyrodę,
Mocne, ruchliwe, gdy młode ;
Słabe, gdy się postarzało ;
Kiedy nasz duch nieśmiertelny,
Nie zna téj odwrotnej miary,
Lecz z każdym dniem więcej dzielny,
Najdzielniejszy, gdy już stary.
Ztąd naturalnie wynika,
Że młode ciało wciąż bryka,

A silne jego wybryki
Łamią często ducha szyki;
Kiedy w sędziwej starości,
Gdzie duch najpotężniej działa,
Krępuje go niemoc ciała,
W którym aż do śmierci gości.
Wtedy bierze go tęsknota —
Radby wnet przebyć jej wrota,
Zagrzebać ciało pod glebą,
A sam raźnie lecieć w niebo;
Bo żywi pewną nadzieję,
Iż w miejsce podartej szaty,
Której już nie starczą łaty,
Nową go Bóg przyodzieje,
I połączy wiecznie z temi,
Których pokochał na ziemi.

W lipcu 1874 r.

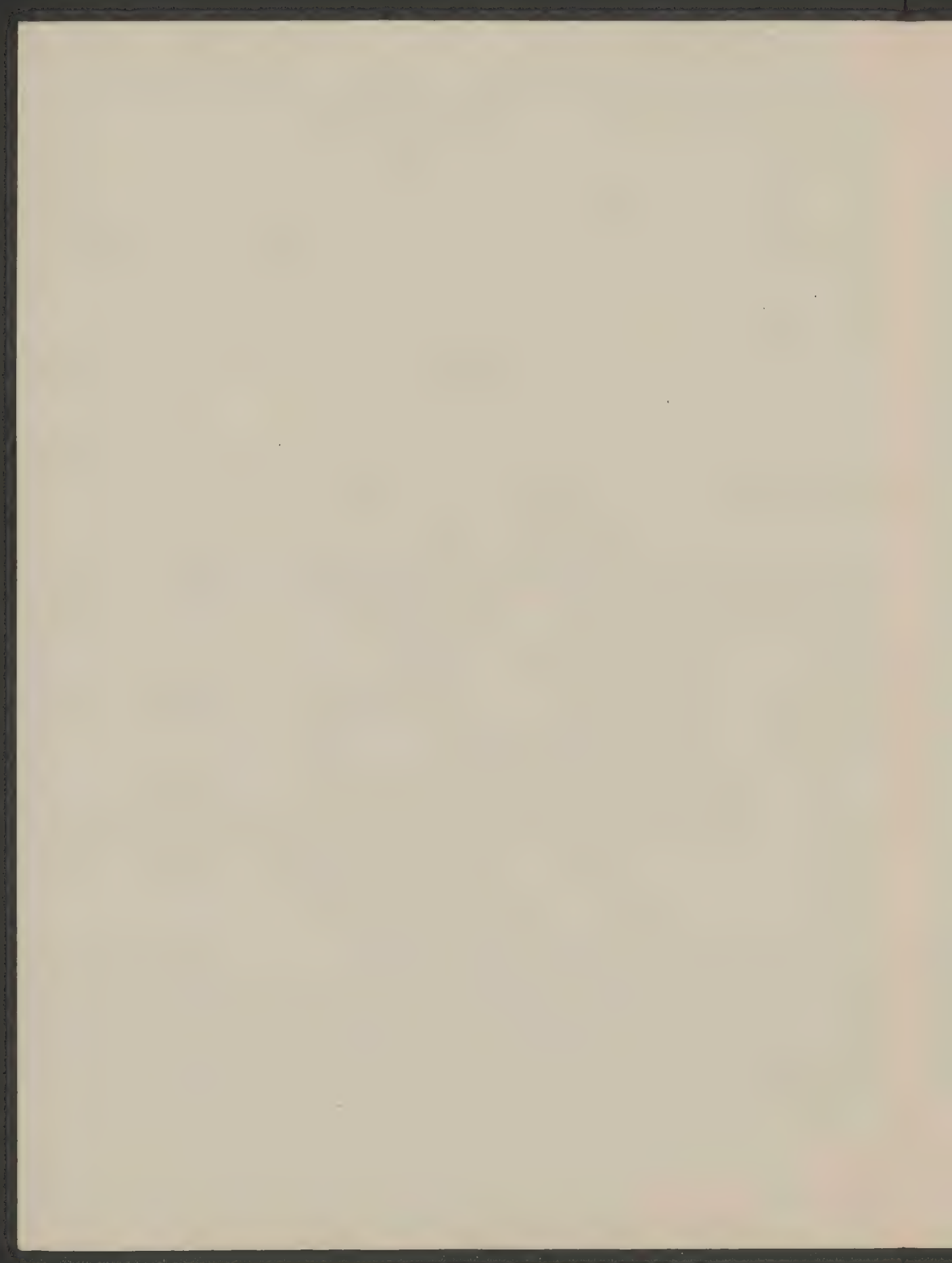
63

NA OBECNE OBÓWIE.

—X—

Hałaśliwe zaiste są obecne czasy:
Gęby wrzeszczą a u nóg stukają obcasy,
Na których, jako niegdyś w scenicznym koturnie,
Mężczyzni i kobiety postępują górnio;
Damy z parasolkami, które zamiast lasek,
Stawiają i podnoszą za taktem obcasek,
Ztąd łoskot, jaki w marszu wydają żołnierze,
Albo koń, byk, lub inne kopytkowe zwierze,
Kiedy pędzi gościńcem, albo też na błoni
Rozbryka się i cwałem jedno drugie goni.

Rok 1874.

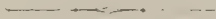


DO KOBIET NOWOMODNIE STROJNYCH.



Dawniej kwiatki i wstążki, fontazie i szlarki,
Stroiły wasze białe piersi, szyje, karki;
Dzisiaj się te ozdoby przeniosły na z^łki,
Wszelako brakują tam dotąd wonne kwiatki;
Natkajcież ich co wlezie, choćby całe snopy,
Jeżeli chcecie, ażeby zalotni młokosy
Zwabieni takim strojem szli za wami w tropy,
Inaczéj będą stronić — zatykając nosy,
Aby ich nie raziły ciemne fajerwerki,
Które idąc puszczają nadęte kuperki.

Rok 1874.





41

DO
ŁASKAWYCH GRATULANTÓW

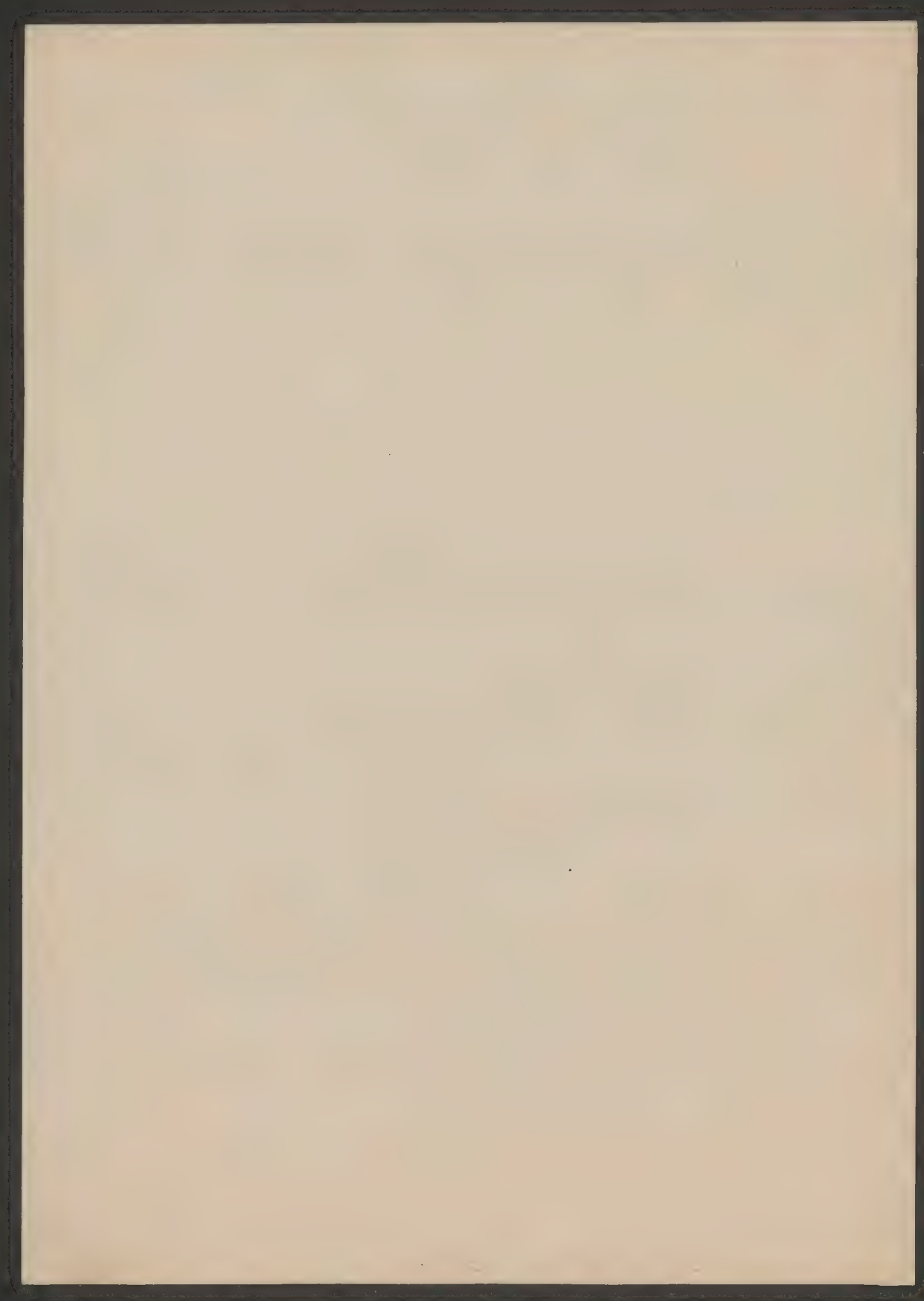
NA JMIENINY W ROKU 1875,

a mojego życia 86.

Aby się mogły spełnić Twe wota serdeczne,
Musiałbyś mnie przemienić cudownym urokiem:
Tak, iżbym dzisiaj zaraz począł życie wsteczne,
To jest: stawał się młodszym z każdym nowym rokiem.
Lecz starzec bliski kresu żywotnej kolei,
Który widzi rozwarte już do grobu wrota,
Nie śmie ufać powabnym ułudom nadziei;
By się jeszcze spełniły na nim Twoje wota.
Życz mu więc, co się może iść w takiej dobie,
I czego sam jedynie tylko życzy sobie,
Upatrując w tém właśnie najcenniejsze dary,
O jakie Boga prosić powinien człek stary:
 Niech mu śmiertelne łożo ducha nie zamroczy;
 Niech z wiarą i nadzieją spełnia wyrok Boży;
 Niechaj po krótkiej walce śmierć ciało umorzy,
 A miłościwa ręka zawrze jego oczy.
Ty zaś w zamian składanych żyjącemu wotów,
Winszuj nieboszczykowi, że się zbył kłopotów
Swojej ziemskiej pielgrzymki, trwającej zbyt długo;
A przytém racz go uczcić ostatnią przysługą:
Więc odprowadź na Smętarz i pożegnaj mile,
I westchnij raz do roku przy jego mogile.
Lub gdyby Cię trudziło takowe Memento,
To chciej go se przypomnieć w Józefowe święto.

Dr. Józef Brodowicz.

W Krakowie dnia 19 Marca 1875 r.





*Śród nadziei i trwogi, pracy i kłopotów:
Żanuj życie: a zawsze do śmierci bądź gotów.*

Do

HILAREGO HANKIEWICZA

~~człowieka~~ Sekretarza U. J. i ~~rzetelnego przyjaciela~~

~~POŻEGNANIE~~

PRZY ZŁOŻENIU MOICH DOKUMENTÓW W ARCHIWUM AKAD.

Niech Cię ten obraz bynajmniej nie smuci;
Łabędź przed zgonem, powiadają, nuci:
Ja wcześniej, zanim spóchnę pod tym głazem,
Żegnam Cię wierszem — chowaj go z obrazem;
A ilekroć spojrzysz nań przez chwilę,
Wspomnij zmarłego przyjaciela mile.

118

Długo żyłem i różne odgrywałem role
W współczesnych komedyantów rozmaitem kole.
Nie do mnie sądzić, jakim każdy z nich był graczem,
Ani oceniać widzów o moich grach zdania:
Mnie surowy rachunek zmusza do wyznania,
Żem w oczach Pana sceny był wszędzie partaczem;
Że zatem mimo długie w służbie Jego lata,
Żadna lub bardzo licha czeka mię zapłata;
Chyba, że Pan uwzględnić raczy szczerą wolę,
Z jaką sobie zadane odgrywałem rolę.
Skladam tutaj wszelako zbiór aktów dość liczny,
Który wiernie przedstawia mój żywot publiczny;
Ale sobie bynajmniej pretensyi nie rości,
Jakoby wielkiej była treść jego wartości.
Jestto plon z różnej gleby i różnego ziarna,
Które skrzętnie zbierała praca nieraz marna;
A którego zwątlone długim wiekiem siły,
Oczyszczyć z mnogiej plewy już nie dozwoliły.

Składam go głównie w celu, niech świadectwo daje,
Jakie miałem zasady, chęci, obyczaje;
Tudzież o moich losach w tej szkolnej podróży,
Odbywanej wciąż prawie wśród społecznej burzy,
W kraju nibyto wolnym i niewolnym razem:
Albowiem republika niepodległą zwana,
Ulegała trzem wołom trojakiego pana,
Dopóki nie przestała żyć za ich rozkazem.
Gdyby zresztą nie zdał się na nic Główniej szkole,
To niech cicho butwieje skryty w ciemnej skrzyni,
Jak zwierz przedpotopowy w skalistej jaskini,
I niechaj go swobodnie spożywają mole.
Ja zaś na tem skończywszy urzędowe sprawy,
Oczekuję już odtąd co chwila z tęsknotą,
Kiedy nitkę zbyt długą skróci Parka Klotho,
A stary Charon ducha wpuści do swój ławy,
By go przez Styks przeprowadził do lepszej gospody.
Tam on zaraz wychyli dzban Lethejskiej wody,
I wypłucze z pamięci wszystko co się działo,
Jak długo zamieszkiwał zmarłe swoje ciało.
Poczem niby odrodzon i w nowej odzieży,
Rozpocznie życia swego dramatu akt świeży,
I odegra na nowej scenie taką rolę,
Do jakiej się uzdatnił na ziemskim padole:
Gdyż w porządku natury nie uchodzą skoki,
Gdzie stanął, odtąd zacznie stawiać dalsze kroki.
Skoro zaś już zakończy i ten akt powtórny,
To będzie musiał znowu zaciągać koturny,
I wędrując, chociażby przez wieków Aeony,
Zmieniać wciąż role, sceny i zużyte szaty,
Dopóki nie zdobędzie mistrzowskiej korony,
Strojnej w prawdy, dobroci i piękności kwiaty.

I wtedyto dopiero duch człeczny podola
Przywdziać strój i grać rolę bożego anioła.
Żegnam Cię więc tymczasem / zacny przyjacielu,
Zanim się obaczymy / u świętego celu.
Tam odnowimy przyjaźń, która nas związała,
Kiedy jeszcze gliniane / dźwigaliśmy ciała.
Boć duch siły miłosnej / wraz z gliną / nie grzebie,
Ona włada / zarówno / na ziemi / i / w niebie:
A, jako tutaj / ludzi / między sobą / brata,
Tak tam wiąże / anioły / z / woli / Ojca / świata;
Który go / stworzył / tylko / z / miłości / natchnienia,
I w niej otwiera / zdroj / szczęścia / dla / swego / stworzenia.

Dr. M. J. Brodowicz.

Kraków dnia 14. Czerwca 1875 r.



*Śród nadziei i twórczej pracy i kłopotów:
Zanuj życie: a zawsze do śmierci bądź gotów.*

Do

FRYDERYKA SKOBLA

PROFESORA UNIW. JAGIELL.



Niech Cię ten obraz bynajmniej nie smuci;
Lubądź przed żgonem, powiadają, nuci:
Ja wcześniej, zanim spocznę pod tym głazem,
Żegnam Cię wierszem — chowaj go z obrazem;
A ilekroć spojrzysz nań przez chwilę,
Wspomnij zmarłego przyjaciela mile.

Kochałem Cię na wiosnę, kiedy pod mém okiem
Jako uczeń wzorowym szedłeś naprzód krokiem;
Czcilem w lecie kolegę w profesorów kole,
Boś wiernie i zaszczytnie służył naszej szkole;
Ceniłem Twoje pisma lekarskiej osnowy
I gorliwą obronę praw ojczyznej mowy;
Nakoniec poważalem ciche Twoje cnoty,
Które stanowią wartość człowieczej istoty.
Odtąd Saturn łakomy pożarł mnogie lata,
I zmienił cały obraz społecznego świata;
Przyczém zniknął obrazek téj wolnej krainy,
Dużo z cudzej, lecz więcej może z własnej winy.
Wreszcie ileżto naszych uczniów i kolegów
Zagnała śmierć tymczasem do Styksowych brzegów;
Reszta się postarzała podobnie jak i my,
Tyś dosięgnął jesieni, ja głębokiej zimy;
Zimy, gdzie jak pod śniegiem wędnie wszelkie ziele,
Tak zazwyczaj trętwieje duch w skończalém ciele;

Która najpiérw uczucia jak mróz kwiaty warzy,
Potém ostudza wolę i do, czynów chęci,
A wreszcie pląta myśli dla braku pamięci —
Starzec nieraz na jawie niby drzémiąc marzy.
Mnie Bóg łaskaw ochronił od téj smutnéj doli;
Mój duch nie uległ dotąd cielesnéj niewoli,
Lecz i owszem tém wolniéj rozwija swe sily,
Im bliżéj jego ciało grobowéj mogily.
Co mu już samo przez się dowodzi naocznie,
Że po zgonie onego razem z nim nie spocznie,
Ale po krótkim tutaj życiu pełném znoju,
Otworzy mu się nowa i świetniejsza droga,
Po którój postępując ciągle w swym rozwoju
Sprawdzi w końcu na sobie podobieństwo Boga,
Jakiém już ozdobiło człeka Stwórey słowo,
I do czego Zbawiciel wezwał go na nowo.
Owóz ten duch stale Cię kocha, czci i ceni,
Jak na wiosnę i w lecie, tak dziś w Twój jesieni.

Dr. M. J. Brodowicz.

R. 1875.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1207 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
TEL. 773-936-5000
FAX 773-936-5001
WWW.CHICAGO.EDU
CHICAGO.EDU



*Śród nadziei i trwogi pracy i kłopotów:
Stanij życie: a zawsze do śmierci bądź gotów.*

Do

P. LUDWIKA ZAREWICZA.

Niech Cię ten obraz bynajmniej nie smuci;
Zabędź przed zgonem, powiadają, naci:
Ja wcześniój, zanim spocznę pod tym głazem,
Żegnam Cię wierszem — chowaj go z obrazem;
A ilekrotnie spojrzysz nań przez chwilę,
Wspomnij zmarłego przyjaciela mile.

Skoro na wysłużonym odpocząłem chlebie,
Tak zaraz ozwała się już stara ochota
Rozpocząć obrachunek czynnego żywota:
Raz, bym zgłębił i poznał dokładniej sam siebie;
Powtóre, bym się sprawił przed ludźmi i Bogiem,
Zanim pożegnam ziemię przed wieczności progiem.
Owóż w pracy podjętej w tym dwojakim celu,
Tyś mię wspierał potężnie zaeny Przyjacielu;
Gdyż bez Twojej zachęty i ciągłej pomocy
Nie byłbym jój wykończył do śmiertelnej nocy.
Mianowicie gdym badał mój żywot publiczny
I wartował wraz z Tobą zbiór piśmideł liczny,
Który w sobie zawierał rozmaite role,
Odgrywane przezemnie w Jagiellońskiej szkole.
A było trud zaiste ze wszechmiar nie mały
Odczytywać tak mnogie i stare szpargały,
Różnej daty i treści jak niemniej skryptury,
Nabazgranąj częstokroć nihy stopą kury.

Do takich należały moje, wyznam szczerze,
Pisane drobno, spieszenie, na szarym papierze.
Ty wszelako jałeś się téj pracy łaskawie,
Czytając co czytelném było Twemu oku;
A coś nie mógł przeczytać, tam z reszty słów toku
Umiałeś sens wysledzić, raczej zgadłeś prawie.
Tym więc tylko sposobem pracując lat cztery,
Potrafiłem nakreślić rys szkolnej karyery,
I po nowych z leniwym zecerem mitręgach,
Wystawić go na widok w dwóch dość sporych księgach.
Treścią pierwszją jest tylko moja professura,
O innych zaś urzędach moich prawi wtóra;
A w obydwóch odbity mój obraz ad vivum.
Wreszcie cały ten ballast złożyłem w archiwum:
Niechaj służy za dowód mozolnej żeglugi
Odbytęj na okręcie szkolnym przez czas długi.
Kiedy byłem zmuszonym stać u jego steru;
Tudzież uczonym molom niech dostarcza żeru.
Nakoniec pozbywszy się wydawnictwa męki,
Przybywam dziś złożyć Ci najgorętsze dzięki,
I oraz z wynurzeniem sincerrimi voti
Wszystkiego co pocziwych uszczęśliwić może,
Modląc się codzień aby miłosierdzie boże
Raczyło moje wotum ziścić co do joty.
W szczególności żyj długo, czerstwo i wesolo;
Niech liczne pokolenie otoczy Cię wkoło;
Niech na Ciebie pospołu z całą Twą rodziną
Dobrodziejstwa bez liku ciągle z niebios płyną.
A gdy już patryarchy liczyć będziesz lata,
I wszystkiem się nacieszysz czém się ludzie cieszą,
I nabawisz do sytu z prawnuków Twych rzeszą,
I pożegnasz nakoniec ten zakątek świata,
To niechże grzeczny Charon nie biorąc obola
Szybko na Elizejskie przewiezie Cię pola.
Tam się połącz i raduj na wieki z wszystkimi,
Którzy Ciebie jak Ty ich kochali na ziemi.
A znajdziesz ich nie mało, bo któż Cię nie lubi,
Skoroś poznał i Twoją przyjaźnią się chlubi.

Dr. M. J. Brodowicz.

THE
HISTORY
OF
THE
CITY
OF
NEW
YORK
FROM
1609
TO
1898
BY
JOHN
B. HOGAN
AND
JAMES
M. SMITH
NEW
YORK
1898



*Śród nadziei i trwogi, pracy i kłopotów:
Żanuj życie: a zawsze do śmierci bądź gotów.*

Do

MICHAŁA ZIELENIEWSKIEGO

MEDYCYNY DOKTORA.



Niech Cię ten obraz bynajmniej nie smuci;
Zabędz przed zgonem, powiadają, nuci:
Ja wcześniój, zanim spoeznę pod tym głazem,
Żegnam Cię wierszem — chowaj go z obrazem;
A ilekrotnie spojrzysz nań przez chwilę,
Wspomnij zmarłego przyjaciela mile.

Kochałem Cię jak ucznia i adjunkta mego;
Czcilem jako kolegę i męża prawego.
Tyś mnie kochał nawzajem i pełen ochoty
Dzieliłeś moje szkolne trudy i kłopoty.
Później kiedy już dawno pozbyłem się szkoły,
I rozpoczął rachunek z rozmaitych roli,
Jakie z bożej i ludzkiej odgrywałem woli,
Podzielałeś znów ze mną ochoczo mozoły.
Jakoż bez Twój zachęty i ciągłej podpory
Nie byłbym go ukończył do dzisiejszej pory,
Lub zaniechał zupełnie — zwłaszcza w moim wieku,
Który zwykle odmienia cały ustrój w czeku;
Gdzie jak w dziecku maleją znowu ducha siły,
I jak temu już tylko sen i pokarm miły.
A wtedy liczne moje akta i piśmidła
Butwiałyby gdzieś w pace od molów toezone,
Lub służyły pod baby i placki pieczone,
Albo kramarzom na sól, pieprz, świece i mydła.

Tobie zatem dziękuję, iż czcionkami ryte
Nie pójdą w poniewierkę, nie zostaną skryte;
Żem w ten sposób nieznane prawdy mógł ocalić,
Sprostować mylne zdania a kłamstwa obalić.
Ależ drogi Michale, czémże Ci odpłacę
Twoją miłość stateczną i mozolne prace?
Ja starzec, którego wnet nożyce złój parki
Wyprawią na brzeg Styksu do Charona barki.
Oto składam Ci w hołdzie te proste wierszeta;
Racz je przyjąć uprzejmie niby szeląg wdowi,
I zostawić w spuściznie miłemu Synowi —
Niech wspominając ojca i na mnie pamięta.

Dr. M. J. Brodowicz.

THE
LIBRARY
OF THE
MUSEUM
OF
COMPARATIVE ZOOLOGY
AND
ANATOMY
OF THE
MUSEUM OF
COMPARATIVE ZOOLOGY
AND
ANATOMY
OF THE
MUSEUM OF
COMPARATIVE ZOOLOGY
AND
ANATOMY

MOJE MIESZKANIE W OBECNYM STANIE.

DO ŁASKAWYCH GOŚCI!

Od lat przeszło dziewięciu mieszkam w kamienicy,
Która stoi przy środku Krzyżowej ulicy.
Tutaj zatem dla własnej i Waszej zabawy
Opiszę jój sąsiedztwa i każdego sprawy,
Tudzież, jakie zjawiska ulica nadarza;
Zanim się z niej sam puszczę w drogę do cmentarza,
I przeniosę na zawsze do mój własnej chatki,
Którą dawno kupilem tuż przy chacie matki.
A teraz oznajmiwszy cel i treść roboty,
Przystępuję z porządku do samej ramoty:

- I. Na południe szpitale w których chorzy jęczą
I klinikom materyał do nauki stręczą.
Jest ich teraz dwa — jeden stary, drugi nowy,
Ale jeszcze trzy Wydział buduje krajowy.
Widać że kunszt lekarski kwitnie doskonale,
Skoro z liczbą medyków mnożą się szpitale.
Zresztą długa ulica z Krzyżową się styka,
Zwana dawniej Wesołą dzisiaj Kopernika:
Ponieważ cię wprost wiedzie tam gdzie przez lunety
Astronomi szpiegują gwiazdy i planety;
Lecz dotąd znają tylko ich ruchów koleje,
Ale zresztą bynajmniej co się na nich dzieje.
Wprawdzie butny rozumek słabego człowieka
W niebieskie tajemnice chciwie się zacieka
I najdziwniejsze mrzonki wylęgle w głowinie,
Jako prawdy ogłasza zdumionej drużynie.
Lecz już księżyc, który wciąż ziemi towarzyszy,
Drwi sobie z takich plotek — jeżli o nich słyszy?
Pożyteczniej więc poznać świat ziemski i siebie,
Niż łamać sobie głowę nad tém co tam w niebie.
Przy téjże lat dwadzieścia mieszkając w swym domu,
Byłem świadkiem okropnych grodu tego losów
I doznałem sam licznych zbyt bolesnych ciosów.
Dziś już wszystko minęło, tylko obraz sromu

Tkwi statecznie w pamięci i serce uciska,
Niekróć myśl uleci do tego siedliska.
Teraz się tam na dole rodzą ciągle dzieci,
A na górze ślepemu czasem słońce świeci.

II. Na wschód Karmelitanek klaszterek ponury,
Który zewsząd wysokie otaczają mury,
Zasłaniając cały świat ziemski przed ich okiem,
By go nieba wyłącznie poły widokiem.
Ależ człowiek ukryty nawet w kreta nurze,
Nie potrafi oprzeć się człowieczej naturze,
Która żąda by zadość jej prawom się stało;
Inaczéj chorobami karci grzészne ciało.
Owóz taki los spotkał nowicyatkę młodą
Z największą dla całego Zgromadzenia szkodą:
Gdy ta nagle w okropną popadła durzycę,
Jaka trapi czasami dojrzałe dziewice,
Jeżeli samowolnie lub z lichych powodów
Wzdrygają się przystąpić do weselnych godów;
I nie znają rozkoszy niewymownej matki,
Jaka tę napawają własne onej dziatki.
Durzyca ta psychiatron będąc dawno znaną,
Furoris uterini otrzymała miano.
A gdy nie nie pomogły naganne perory,
Musiano więc zamknąć ją do ciemnej kumory,
W nadziei że ten środek dzielny chociaż ostry,
Stłumi żar najgorętszej ze zwierzęcych chuci,
A przytłumionej duszy rozsądek przywroci
I oraz od zgorszenia zabezpieczy siostry.
Zresztą takiego środka używają wszędzie
Doświadczeni lekarze w podobnym oblędzie.
Tymczasem jakiś niecny wydał tajemnicę,
Głosząc że mniszki dręczą niesforną dziewicę
Za to, iż nie chce kończyć rozpoczętej próby
I zawierać z zakonem uciążliwe śluby.
Zaraz więc szczwana tajnie zbiegła się tam rota
I poczęła szturmować do klasztoru wrota;
Inni znów po drabinach na mur się wspinali,
A wszyscy razem wrzeszcząc mniszki przeklinali,
Twierdząc że ich litości jedynie zamiary
Spędziły na ratunek nieszczęsnej ofiary.
Wkrótce przybył ksiądz biskup z burmistrzem doktorem;
Lecz i tych omamiła straszliwa choroba

Tak iż poszli tym samym jak i motłoch torem,
 Potępiając o zbrodnię cały zakon oba;
 I prawie opętani od dzikiego szału,
 Oddali wnet tę sprawę pod sąd trybunału.
 Zaraz tedy wieziono nieszczęśliwą matkę
 Pod strażą i w biały dzień do gmachu Michała,
 I zamknięto jak ptaka drapieżnego w klatkę,
 W której kilka tygodni pod śledztwem stękała.
 Lecz kiedy śledztwo mylność wykazało sporu,
 I że tu zakon złości jedynie padł lupem:
 Trybunał nie chcąc wstydić burmistrza z biskupem
 Nie ogłosił publicznie swojego wyroku;
 Ale kazał cichaczem przy wieczornym zmroku
 Odwieść sponiewieraną matkę do klasztoru.
 Tymczasem Ubrykówna u świętego Ducha
 Osadzona aż dotąd rozumu nie słucha;
 Lecz przeciwnie gestami i słowy zwiastuje,
 Że ją furor uteri ciągle napastuje.

- III. Z północy spory ogród Kurkowych Rycerzy,
 Gdzie się bawia strzelając Niemcy, Żydzi, Piasty,
 A przy licznych biesiadach spełniają toasty,
 Które gloszą z trąbami wystrzały z móżdżierzy.
 Prócz tego bywają tam koncerty wśród lata,
 A w zimie świetne bale i zebrania w poście,
 Z których mogą korzystać obcy także goście,
 Byle tylko została złożona opłata.
 Znajdziesz tam jeszcze dosyć dobrą restaurację,
 W której możesz zajadać obiad lub kolację;
 Albo piwo i kawę spijać przy stoliku,
 Jakich tam rozstawiono z krzesłami bez liku.
 W chwilach niepoświęconych publicznej zabawie
 Wolno ci spacerować po całym ogrodzie,
 Albo też przesiadywać na jakiejś ławie,
 Których tam znajdziesz wiele gościom ku wygodzie.
 Otóż krocząc powoli po mnóstwie chodników —
 Które między klombami jak węże się wiją,
 Albo w gęstych zaroślach utonawszy kryją —
 Przed południem lubo też wśród wieczornej doby,
 Trafisz tam po kolei na różne osoby
 W towarzystwie, lub tylko luźnych samotników:
 Tamte na dużych ławach zakręconych w koło,
 Gwarząc pomiędzy sobą głośno i wesoło;

Tych przeciwnie na mniejszych w jakimieś kąciku,
Dumając albo drżąc wspartych na stoliku.
Dalej jakiś literat w okularach czyta
I zatopiony w książce nie spojrzysz na ciebie;
Lecz tuż za nim znajomy z cygarem cię wita
I zaprasza uprzejmie usiąść obok siebie.
Tam znów siedzą dwie panie, poważne matrony,
Robiąc sobie pończoszkę, a na wszystkie strony
Rozbiega się ich działość i znów razem schodzi,
I skacze, i śmieje się, i wadzi i godzi.
Nakoniec zbliżywszy się do ciemnej kryjówki
Uderzy cię zniemacka miła niespodzianka:
Boś wytropił w uściskach z kochanką kochanka
I zrosł w pocałunkach niby onych główki!
Lecz ty chroń się być długo świadkiem tajemnicy,
I zwróć natychmiast kroki ku innej ulicy.
Nareszcie zakończywszy przegląd twój wyprawy
I strudzony chwyć się sam opróżnionej ławy.

IV. Nieco niżej na zachód pan John warzy piwo,
I siejąc w kotły jęczmień zbiera płynne żniwo;
Które w beczkach na wozie wyprawia z browaru,
By dostarczyć szynkarzom chmielnego nektaru;
Jaki dziś z coraz większym popijają smakiem
Profesor ze studentem, urzędnik z wojakiem,
Tudzież mnichy i księża a nawet pałacy,
Wreszcie równie ubodzy jakoteż bogaci.
Zgoła że dziś pić piwo należy do mody,
I wkrótce nikt nie zechce pokosztować wody.
Dlatego rywal Johna Götz w swoim browarze,
A po nim inne jeszcze pomniejszych fabryki
Preparują ten nektar in gratiam publiki.
Ztąd coraz większa liczba szynków i szynkarzy;
Którym konsens wydaje z łatwością niegodną
Magistrat, by nakarmić swoją kasę głodną.
Lecz może nadejść pora, gdzie lud zachmielony
Ocknie się i porzuci swój nałóg szalony,
A pomnąc kto go wprowadził w ten obyczaj dziki,
Rzuci się na browary i na browarniki;
Będzie burzył szynkownie i ścigał szynkarzy;
Przyczém i pan Magistrat nie ujdzie potwarzy.
Takiż los, ale wcześniej nieomylnie czeka
Gorzelnie i rozliczne likierów fabryki,

W których cedzą alkohol sprytne alembiki,
 Najzaciętszego wroga rozumu człowieka.
 Alkohol jako czynnik w pracowniach chemicznych
 I aptecznych i różnych zakładów technicznych,
 A wreszcie w potrzebach gospodarskich domu,
 Wart zaiste o tyle ze wszechmiar pochwały;
 Lecz staje się czynnikiem ohydneho sromu
 I powszechną już dzisiaj dla ludzkości klęską,
 Skoro w szynkach pod nazwą obrzydłej gorzały
 Rozpaja coraz więcej pleć żeńską i męską;
 Więc tłumi w sercach tkliwość, rozum więzi w pęta,
 I strąca rodzaj ludzki poniżej zwierzęta.
 A wiadomo powszechnie, że zwierzę człowiecze
 Okrutniejsze od wszystkich skoro się raz wściecze.
 Niechaj więc mądre sejmy i panowie celni,
 Którzy dotąd tak żwawo bronią swych gorzelni,
 Nie czekają aż przyjdzie straszna katastrofa,
 Bo im wtedy niezda się rada filozofa:
 Mądry w chorób początkach zaraz leków szuka,
 Gdyż później niedołączna Eskulapa sztuka.

V. Jeszcze bliżej, lecz na Wschód, staraniem Koźmiana,
 Stanęła nagle buda dość spora, drewniana,
 Zamiast łupku lub gonta smołowcem pokryta,
 Którego woń zdaleka podróżnego wita.
 Lecz z afiszów przy furcie przechodzień się dowie,
 Że ta buda właściwie teatrem się zowie.
 W niej trzy razy na tydzień komedyantów rzesza
 Ciekawych spektatorów smuci lub rozśmiesza:
 Udując rozmaite społeczne figury
 Począwszy od najniższej warstwy aż do góry;
 I kopując ubiorem, gestami i słowy
 Ich ubiór i postawę, czyny i rozmowy.
 Przyczém huezna orkiestra przerywa ich trudy,
 Którą można usłyszeć nawet zewnątrz budy.
 Wszakże mimo wszelkiego kopisty zapału
 Rzadko kopia podobna do oryginału.
 Zresztą na ziemskiej scenie każdy człek aktorem
 W swym zawodzie; lecz żaden przy najlepszej woli
 Nie potrafi tak dobrze odegrać swój roli,
 Iżby został zawodu swego istnym wzorem.
 Wprawdzie człowiek w swój dumie zbyt zarozumiały
 Gani jednych, a drugim nie szczędzi pochwały:

Więc i ziemskich artystów ustanawia ceny;
Lecz wszyscy są partacze w oczach Pana sceny.
Zgoła w życiu społeczném i w teatrze ludzie
Zamiast hołdować prawdzie, hołdują uludzie,
Wszelako milsza dla nich teatralna złuda,
Bo zabawia i żadnej nie przynosi szkody;
Ztąd bawią się w teatrach dziś wszystkie narody,
A Krakowian rozrywa teatralna buda.
Owóz z takiej to roli Koźmian zbiera plony
Różne według rolników pracy i zdolności,
Którzy sobie rozdane sprawiają zagony,
Jak niemniej według liczby teatralnych gości.
Poczém każdy robotnik odbiera zapłatę
Według tego jaką wniósł do kasy intratę.
Igrzyska teatralne trwają trzy godziny,
Ogrodowym wymierza ich rodzaj terminy.
Skoro zaś i tu i tam skończono zabawy,
Tak zaraz na ulicy pełno wszędzie wrzawy:
Gdy jedni gwarząc tłumnie po chodnikach kroczą,
A drudzy pojazdami tak silnie turkoczą,
Że się cały dom trzęsie a z nim moje łóże,
I że człek przed północą ledwie usnąć może.

VI. Tyle co do zakładów z każdej strony świata,
Z jakimi sasiaduje Rehmanowa chata.
A teraz o przecznicy mówić nie zawadzi,
Która prosto z Wesolej na Lubiec prowadzi,
I która przytoczono zważywszy igrzyska
Ma prawo do krzyżowej zaiste nazwiska:
Zwłaszcza że już od świtu mnogie żywych kupy
Snują się i Krzyżują przez całą ulicę;
A od czwartej z południa maszerują trupy
Na wozach lub na barkach wprost pod Rakowice:
Jużto skromnie, bez świeczek i w drewnianej trumnie,
Już w cynkowej, przy faklach, w karawanach szumnie.
Karawan okazały, sarkofag złożony,
Oświecają faklarze, idąc z każdej strony;
A ciągną cztery w kapy odziane bachmaty.
Strój woźnicy: płaszcz czarny, kapelusz rogaty.
Przed nim na znak dewocyi, albo próżnej pychy
Postępują parami cechy, księża, mnichy,
I szpitalne sierotki i ci co z opieki
Dobroczynnej żywią się, starzy i kaleki.

Za nim krewni i bliźsi domu przyjaciele,
I mniej więcej znajomych umarłemu wiele,
Wreszcie w suknie żałobne postrojone sługi;
I pojazdów — najwięcej próżnych — szereg długi.
Przytém ilekroć pogrzeb taki się wydarza
Liczne roje żebraków ciągną do cmentarza,
Kędy ich wabi nadzieja niepróżna
Iż przy bramie cmentarnej czeka ich jałmużna;
Za którą poklepawszy modlitewkę krótką
Spieszą zaraz do karczmy by się upić wódką.
Należałoby zatém już z takiej przyczyny
Rozburzyć raz to brudne dziadowskie ognisko,
I uwolnić spokojne umarłych siedlisko
Od karczemnych hałasów próżniaczęj drużyny.

VII. Za profanami spieszą dość licznie wojaki,
Których jednak wywożą na sposób dwojaki:
Kilku w budzie raniutko i bez księdza wcale,
A jednego z południa bardzo okazale.
Wtedy bowiem prowadzi oficer na przodzie
Poczet prostych żołnierzy w marsowym pochodzie;
Za nim krzyż i kapelan wojskowy w birecie,
Który jakąś modlitwę za zmarłego plecie:
Żeby mu odpuszczona była wielka wina
Za to że się zatrudnił rzemiosłem Kaina,
A może nawet pragnął buławy hetmana,
By mógł krocie mordować tocząc bitwy krwawe,
I zarobić na wodza zwyciężkiego sławę?
W czém go jednak zawiodła śmierć nieubłagana.
Nie chcąc widzieć by zwiększył liczbę mistrzów sławnych
W tym kunszcie, zwłaszcza dzisiaj bieglejszych od dawnych;
Wobec których mistrz Kain tylko lichym żakiem,
Nie godzien stać w szeregu z najprostszym wojakiem:
Gdyż nieznaną mu była nawet krzywa szabla
I dlatego maczugą zamordował Abła;
Kiedy dziś każdy prosty żołdat w Waffenroku
Nosi zawsze na pasku swój pałasz przy boku,
I pewnie trafia kulą z karabinu małą,
Niżli ongi sam Cezar z łuku długą strzałą.
Potém toczy się czarna z baldachimem kara,
Którą ciągnie powoli ciężkich koni para,
A na znak, że w niej jedzie Bellony pacholek
Starożytny hełm grecki zdobi jój wierzchołek.

Za karą tłum kamratów z téj saméj falangi
I kilku oficerów niższej zwykłej rangi;
A z tyłu i po bokach liczna żydków zgraja
I dziewczek i próżniaków ten orszak podwaja.
Wabi ich zaś szczególnie wojskowa muzyka,
Która bardzo żałośnie gra za nieboszczyka.
Skoro zaś kondukt wyszedł z Krzyżowej ulicy
I dotarł aż do murów kurkowej strzelnicy,
Wystrzał z broni parady koniec zapowiada,
A potem zaraz bęben wzywa do powrotu.
Natenczas spieszy tłumnie cała kawalkada;
A muzyka pozbywszy żałoby kłopotu
I pragnąc rozweselić żołnierzy polaków,
Gra im — czysta ironia! — skocznych krakowiaków,
Co się szczególnie żydkom i dziewczkom podoba.
I na tém to kończy się wojskowa żałoba.
Odtąd jadą na cmentarz trupy cicho same:
Gdzie ich razem we wspólną zakopują jamę.
Już to w trumnie, już nago, lub w jakiejś odzieży,
Ale zawsze bez księdza, śpiewu i pacierzy.
Nigdy też takich in spe bohaterów zgony
Nie ogłaszają światu armaty lub dzwony,
Ani też rozlepione po murach plakaty:
Małe, średnie i duże w łokciowych rozmiarach,
Według tego czém był trup złożony na marach:
Mało- albo wielmożny, jasny lub bogaty.
Ależ te adoracye cielesnej skorupy,
Jakiemi się czeza duma wyróżnia i puszy,
Nie przysporzą zbawienia ladażakiéj duszy.
Zresztą na marach wszystkie równe sobie trupy.
Jakoż ich nie rozróżnia w grobie robak głodny,
Czyli ten marmur kryje, czy mogiłka z darni:
Dla niego każdy przybysz do jego spiżarni
Równie smaczny i równie poważania godny.

I w takimto dzisiaj znajduje się stanie
Moje ciche przed laty dziewięcią mieszkanie!

W Krakowie dnia 18 Sierpnia 1876 r.

Włodzisław

11. *Lectione na krajz'u smerci*

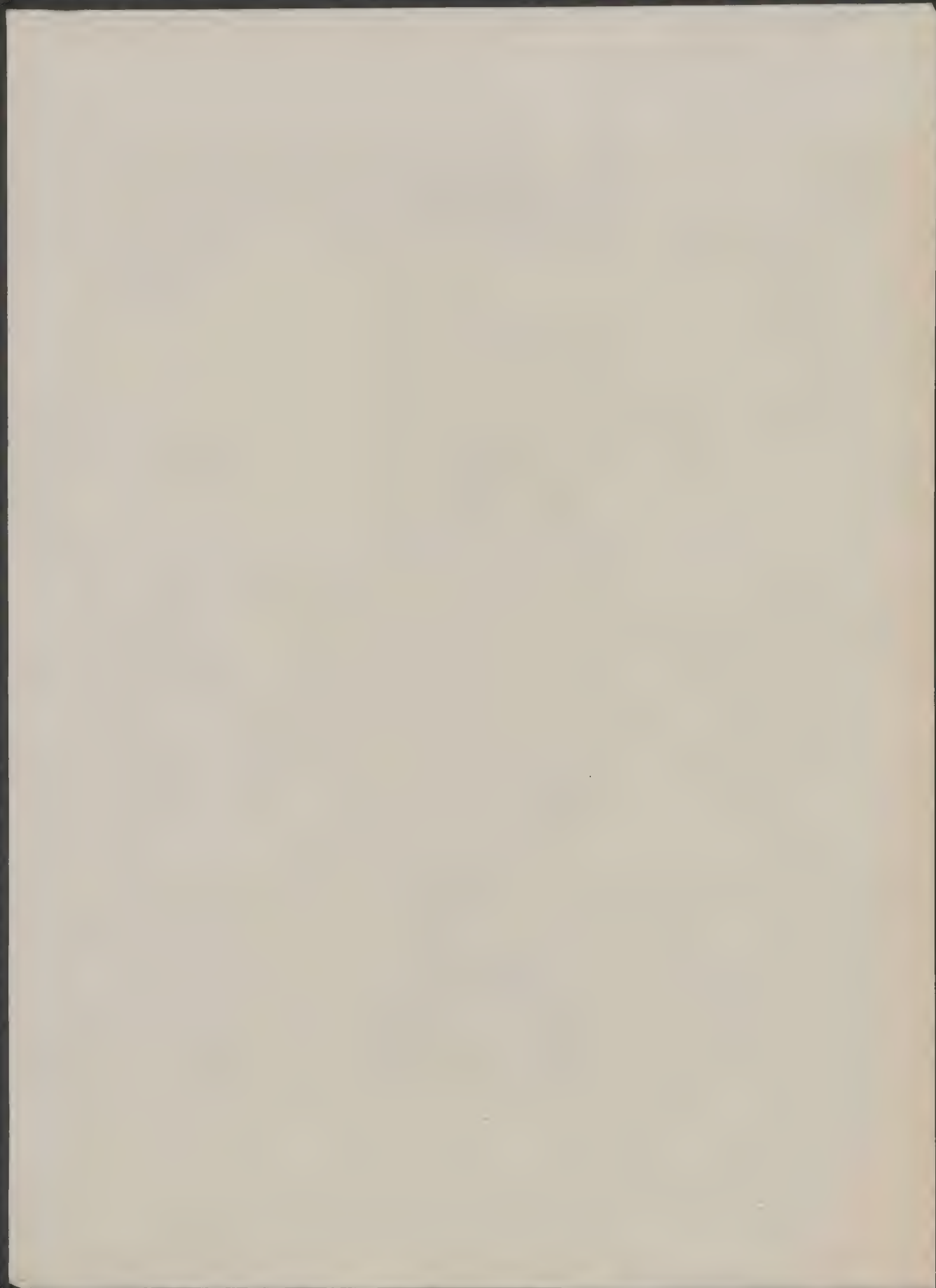


LEKARSTWO NA BOJAŻŃ ŚMIERCI.

Kto kocha nad wszystko Boga
I pała bliźnich miłością,
Ten się nie trwoży wiecznością,
Kędy przez grób wiedzie droga:
Bo wierzy i ufa śmiało,
Że w nim złoży tylko ciało;
Kiedy duszę wyzwoloną
Z więzienia glinianej chaty —
Przyodziawszy w nowe szaty —
Ojciec przyjmie na swe łono.
Znając bowiem dobrą wolę
Z jaką — smutna czy wesola —
Uprawiała w pocie czoła
Zbyt jałową ziemską rolę,
Przebaczy jój plewę marną,
Nawet kąkol, jaki może
Siała czasem między zboże;
A zapłaci czyste ziarno;
I połączy ze wszystkiemi
Które kochała na ziemi:
Iżby go wspólnie wielbiła
I odtąd z nim wiecznie żyła.

Więc i ty starcze zgrzybiały,
Jeżeli cię silnie grzeją
Miłość z wiarą i nadzieją,
Nie lękaj się ostrzej strzały,
Którą śmierć ciało ugodzi,
Gdyż ta duszę wyswobodzi
I wyprawi wprost do Boga,
Kędy mleczna wiedzie droga.

Kraków d. 20 Grudnia 1879 r.





Wielki Książka San. Antona

CURRICULUM VITÆ

do końca 1850 roku.

Zrodzony i chowany na błoniach Podola,
 Od najlepszych rodziców, w dobrych dzieci gronie,
 Właśnie, kiedy ojczyzna jęczała przy zgonie,
 Dziwna była długiego życia mego dola.
 Zakończywszy niemieckie i łacińskie szkoły,
 Potem zaś filozofii przebywszy mokoły,
 Wypadało porzucić rodzicielskie progi,
 I chwycić się jakowejś w społeczeństwie drogi.
 Nie łakomy na złoto, ni zaszczytów chluby,
 Które zwykle kierują młodzieńca wyborem,
 A nawet bez namysłu puściłem się torem,
 Jakim iść postanowił mój przyjaciel luby.
 Eskulapa zbawiennej jęliśmy się sztuki,
 Która zdrowie lub ulgę niesie chorym ciałom,
 Ponieważ ta schlebiała naszym ideałom,
 Jakie najprzód Gellerta moralne nauki,
 Wskrzesiły, lecz najmocniej rozogniła może
 Powiastka o Robercie, wzorowym doktorze,

Ażeby więc tem pewniej dojść jej tajemnicy,
I dopiąć jak najrychlej tak świetnego celu,
Mimo licznych trudności i przykrości wielu,
Pojechałem nakeńiec do Państwa stolicy.

Tam to po siedmiu latach pracy bardzo gorzkiej,
Nieraz w dużej potrzebie i prawdziwej nędzy,
Bez pomocy, pociechy, rady i pieniędzy,
Otrzymałem wszelako bircik doktorski.
Poczem łaskawe nieba dały dobrodzieja:
Poznał mnie zacny Raimann, wziął na pomocnika,
I choć silna drugiego popierała klika,
Zawiodła jej zabiegi obłudna nadzieja
Byłem zatem Adjunktem przez lat cztery całe,
I zebrałem korzyści ze wszechmiar niemałe:
Albowiem ucząc drugich, uczyłem sam siebie,
A przytem nie brakło mi na groszu ~~X~~ chlebie;
Prócz tego zjednałem se przyjaźń naczelnika,
I chorych zaufanie, i miłość młodzieży —
Która jeszcze w tym wieku kocha, ufa, wierzy —
I poznałem dokładnie, co to jest klinika.
Nakoniec wyjechałem z Wiedeńczyków raj, —
Zostawiwszy tam pamięć dobrego imienia,
I opatrzon sownie w chlubne zaświadczenia,
Powróciłem szczęśliwie do polskiego kraju.

Owóż to dobre imię i świadectwa mnogie,
Wydały wnet owoce dla mnie bardzo błogie:
Bo zalety, jakeimi brzmiały w swej osnowie,
Przechyliły na moją stronę znowu szalę;
I musieli ustąpić ze wstydem rywale,
A mnie dano katedrę kliniczną w Krakowie.
W Krakowie! owym świętym dla Polaka grodzie,
Niegdyś stolicy królów w potężnym narodzie;

Poprawki:

Str. 1 - 3. zmiana,
— 2. ni — i

— 3. dziecie zamiast
dzieci.

— 5. przyrządy

— 5. melodynii tańce
rozmowy

— 6. zamiast kareta
na 448 onych.

— 6. zamiast ci
wytań on łobuz
nie wierzy.

— 9. zamiast schowac
wytań Zehrae.

— 9. zamiast magnat
wytań bogacz

— 11. zamiast Sargolnij
wytań Sargolnyj

— 11. zamiast mi
wytań im.

stron 11.

" 13. zamiast lata
" 13. zamiast lata

" 13. zamiast
Swiegozyc
Swietozyc

" 14. balogi

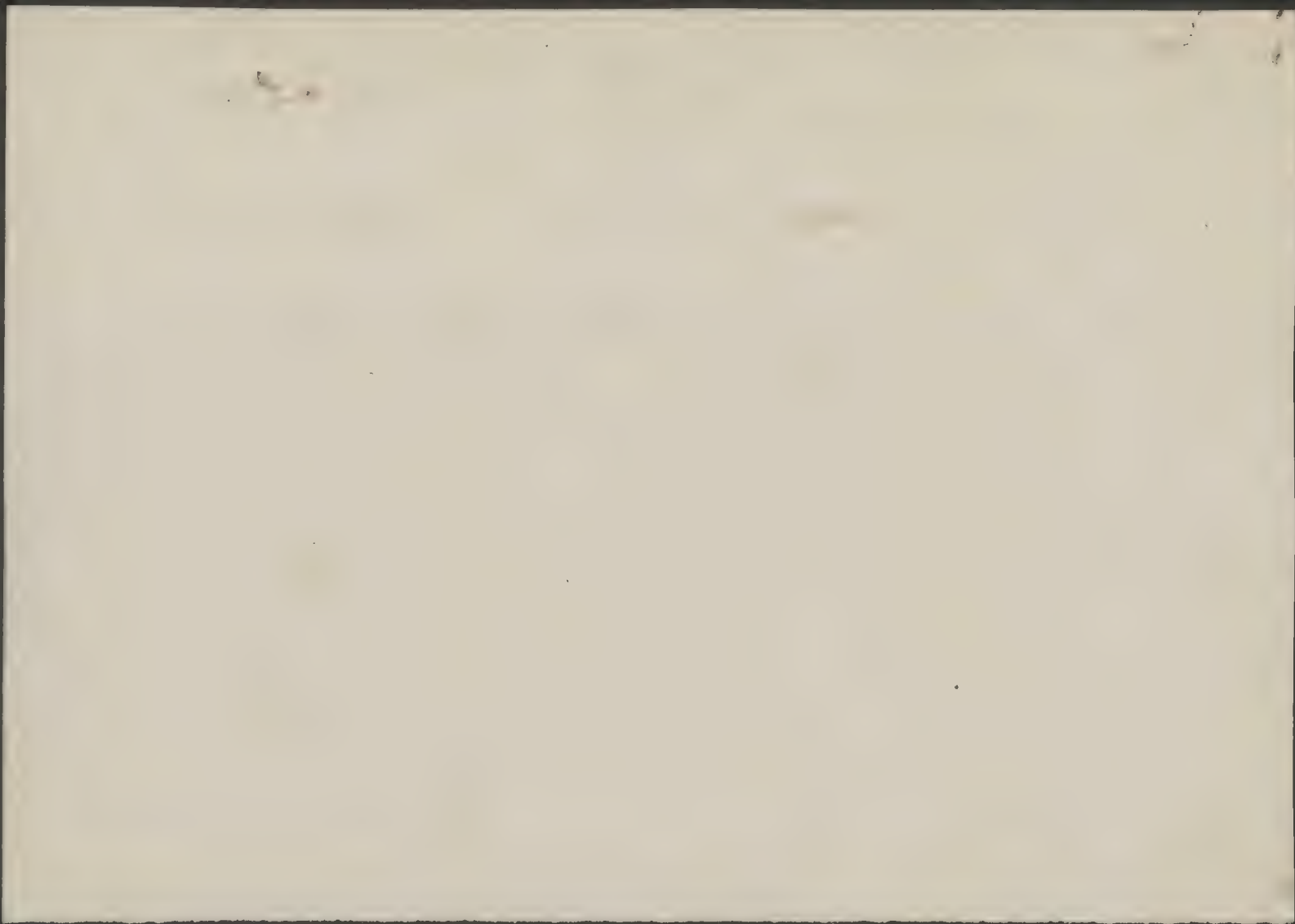
" 14. zamiast
wychwalita
wychwalata

" 15. miedzi
miedzi, cicho
jakiś -

—Hein' d'öby ci'heiclam!

~~Papaceu~~ efere natgerene bu
omythe — ce pertern Kas'
osbijac. My

Longi arei — alij.



Który wtenczas był małą Rzeczpospolitą;
 Dopóki jej, jak dużej, starej nie zabito.
 W Krakowie! który zawsze był rodzicom miłym,
 I kędy od dzieciństwa mojego tęskniłem.
 W Krakowie, gdzie mój ojciec już przed stoma laty,
 Wyuczył się łaciny w nowodworskiej szkole,
 Potem służył Massalskim, a wreszcie żonaty
 Przeszedł do Lubomirskich w służby na Podole.
 Tam, pracując pocziwie trzydziści lat zgórą,
 Dostał od księżny Pani wieś emeryturą,
 I w niej żywot zakończył pełen pobożności,
 I przy skromnej cerkiewce, złożył swoje kości;
 Kiedy matka ćwierć wieku wiodąc życie wdowie,
 Powróciwszy do przodków starego siedliska.
 We dwanaście lat później spoczęła w Krakowie,
 Więc na ziemi, gdzie niegdyś stała jej kołyska.
 Jam ją chował — najmłodsze z dziesięciorga ~~dzieci~~, *dzieci*
 I z nią oraz najdroższy skarb mój na tym świecie.

Profesorska katedra w Jagiellońskiej Szkole,
 Otwarła mi obszerne w mym zawodzie pole,
 A następnie utarła do urzędów drogi,
 O jakich nie marzyłem, wstępując w jej progi.
 Aczkolwiek bez najmniejszych zabiegów z mej strony;
 Lecz przeciwnie bywało, iż nieuprzedzony,
 Musiałem, ulegając prośbom lub potrzebie,
 Dla dobra ogólnego poświęcić sam siebie,
 I pomimo odrazy, wbrew moim zasadom,
 Przodkować rozmaitym radom i parodom.

Mnogie były zadania i ciężkie mozoły,
 Jakie mi każdy szczebel nasuwał z kolei,
 I zbyt rzadko dnie smutne przeplatał wesoły!
 Ale za to nie mało ziściłem nadziei;

A jeżeli mnie czasem jakaś i zawiodła,
 Pocieszałem się chęcią, że nie była podła.
 Wreszcie nieraz w wesele zamienił się smutek,
 Kiedy zawód doznany lepszy wydał skutek.

Najdłużej zatrudniała katedra kliniczna,
 I Praktyka prywatna, długo bardzo liczna.
 Katedrę lat dwadzieścia i osiem dzierżyłem,
 I był ten obowiązek dla mnie arcymiłym:
 Gdyż miałem dużo uczniów, wogóle pocziwych,
 Zdanych, skromnych, gorliwych i nauki chciwych.
 Żyliśmy z sobą ciągle starym obyczajem,
 Oni mnie miłowali, a ja ich nawzajem;
 Aczkolwiek bez umizgów, podchlebstw, pobleżania,
 Za jakie się kupuje popularność tania;
 Przeciwnie, wymagałem surowo wszystkiego,
 Cokolwiek się nauki, lub dobra chorego,
 Albo wreszcie tyczyło porządku zakładu;
 Zmuszając ich bez folgi do pracy i ładu.
 Za to ja też nawzajem, wszystkiego ochotnie
 Uczyłem ich bez przerwy przez rok szkolny cały,
 Bo wtedy nie robiono zapisów dwukrotnie,
 I nie cięto przedmiotów na różne kawały,
 By предаwać za czesne privatim co śliczne
 A poślednie zachować na lekcyje publiczne —
 Aczkolwiek opłacane ze rządowej kassy:
 Nie były tak szczęśliwe ongi moje czasy!
 Wtedy tylko rząd płacił za wszelkie odczyty,
 A uczniowie wszystkiego mogli słuchać gratis,
 Lecz za to, niezawisły mistrz od ich kaléty,
 Mógł każdemu wypalić verba veritatis,
 I zapisać w Cenzurze bez ogródki, śmiało,
 Jak się uczył, co umie, dużo, nic, lub mało?
 Tudzież jaki obyczaj, czy uczęszczał stale
 Na prelekeye, lub rzadko, lub nie bywał wcale?

Dziś taka pedanterya nie krępuje ducha:
 I byle tylko wpisy nastąpiły wczesne,
 A do kassy złożono należyte czesne,
 Mistrz naucza czego chce, uczeń co chce słucha.
 Nadto uczeń nie składa dziś rocznej rachuby
 I mistrz nie ma postępów jego ciągłej próby,
 Ani prawa oceniać jego obyczaje,
 Lecz tylko z frekwencji świadectwo mu daje.
 A gdy i tej ocenić nie jest wstanie ściśle,
 Zatem musi przestawać na prostym domyśle,
 Lecz najczęściej rad nie rad pisze, że był „pilnym“,
 Albowiem względ na czesne jest dowodem silnym.
 Było to w onym roku, kiedy Vindobona
 Niegdyś mądra, poważna, sędziwa matrona,
 Opanowana nagle szaleńcem politycznym,
 Ogarnęła cały rząd postrachem panicznym;
 I wtedy słynna Aula ministra oświaty
 Przymusiła skasować prawa starej daty,
 A natomiast ogłosić te nowe dekrety,
 Naśladując niemieckie uniwersytety.
 Czas okaże, czy więcej pożytku lub szkody,
 Przytępi społeczeństwu te szkolne swobody?

Praktyka moja padła jeszcze na te chwile,
 Kiedy Kraków swobodny w pełnej słowa sile,
 Posiadał dobrobytu dwa główne warunki:
 Wolność handlu, z sąsiadem przyjazne stosunki,
 Mieszkało w nim natenczas oddawna i stale,
 Dużo rodzin zamożnych, żyjąc okazale;
 Oprócz tych, wiele kupców i rękodzielników,
 I duchownych tak świeckich, jak i zakonników.
 Wszyscy ci wiedli żywot swobodny i błogi,
 A przy nich mógł się wyżywić łatwo ubogi.
 Nakoniec, przebywali w murach tego grodu,
 Dłużej, krócej i w celach różnego rodzaju,

Polacy z wszystkich dzielnic rozdartego kraju,
 Jak równie cudzoziemcy różnego narodu.
 Przeciwnie, bardzo mało miał wtedy lekarzy,
 A wszyscy już majątni i poczęści starzy,
 Którzy mnie więc dość chętnie cierpieli w swem gronie,
 A nawet koleżeńskim zaufaniem czcili,
 I swemi pacyentami ze mną się dzielili:
 Co się rzadko przytrafia w lekarskim zakonie;
 Miałem więc w krótkim czasie chorych podostatek,
 Ze wszelkiej, jakto mówią, towarzyskiej sfery,
 Począwszy od pałaców, aż do wiejskich chat,
 I mogłem poznać różne onych charaktery,
 A poznany nawzajem od nich przy chorobie.
 Zyskiwałem przyjaciół w pacjentów osobie.
 Praktyka moja zatem, prócz zysków z rzemiosła,
 (Które dużo konfratrów, na wzór rzemieślniczy,
 Do najwyższych korzyści swego stonu liczy),
 Inne i kosztowniejsze jeszcze mnie przyniosła.

Wszystkie zwykłe urzędy przy zakładach szkolnych,
 Jużto dłużej, już krócej kolejno dzierżyłem;
 Lecz oprócz tych, kilkakroć zniewolony byłem
 Do sprawunków niezwykłych, przykrych i mozolnych;
 A to z okazji ciągłych reform tej krainy,
 Gotujących ją zwolna do śmierci godziny!
 Pomijając tu drobne, celniejsze wymienię,
 Bym dał poznać wogóle każde zatrudnienie;
 Najprzód więc miałem udział w sprawach komitetu,
 Przy powtórnej reformie Uniwersytetu;
 Potem byłem lat cztery dziekanem w wydziale,
 A potem urządziałem krakowskie szpitale;
 Następnie piastowałem berełko rektora,
 A przytem wyřęczałem wciąż konserwatora
 Szkoły głównej we wszystkich czynach wielkiej rady;
 Wkońcu, po długiej walce, skłoniłem się wreszcie

Objąc w zarząd naczelny wszystkich szkół zakłady,
Jakie wówczas istniały w naszym wolnem mieście:
Najtwardsze jarzmo, jakie w mojem życiu całem
Przez lat dziewięć bez przerwy cierpliwie dźwigałem,
I wtedyto, licząc się z mym czasem i siłą,
Zrzec się mojej praktyki prywatnej trza było;
Zatrzymawszy wszelako kliniczną posadę,
Bym nie pozbył w urzędzie pana komisarza
Najdroższego dla siebie tytułu lekarza,
I mógł przynajmniej biednym chorym dawać radę,
A nareszcie z uczniami żyć razem tak długo,
Dopóki pozostanę Akademii sługą.
Atoli ucząc w szkole i pracując w biórze,
Nie mogłem już wystarczyć na fatygi duże,
Jakie lekarz sumienny znosi w dzień i w nocy,
Przy chorych, którzy jego wzywają pomocy.

Nie mam już dzisiaj czasu ani też ochoty,
Wyliczać tych urzędów, trudy i kłopoty,
I jakie ztąd wynikły pożytki lub szkody?
W aktach szkolnych złożone są tego dowody,
Ktoby więc chciał je poznać i z nich mego ducha,
Niech wartuje archiwa, a plotek nie słucha.
Tu zaś tylko solennie wypowiedzieć muszę:
Że wszystkie te urzędy, godności, zaszczyty,
Którym mój czas i siły i zyski prywatne
Poświęciłem — były złe, lub całkiem niepłatne,
I nękały okropnie tak ciało, jak duszę.
A jednak zajął mi ich niejeden wróg skryty!
Mieniąc, że mnie bogacą i poją słodyczą,
I jakobym sam gonił za onych zdobyczą?
Każdy bowiem drugiego swoim łokciem mierzy,
Gadaj z kłamcą otwarcie, on ci nie uwierzy.
Bo jakaż rozkosz siedzieć przy zielonym stole,
I słuchać zdań częstokroć między sobą sprzecznych —

Lobie T

18

A czasem nawet kłótni i słówek niegrzecznych
 Bo rzadko bywa zgoda w panów rajców kole!
 Więc, kiedy bardzo mądrze rozprawiali jedni,
 To drudzy takich nieraz napletli nam bredni,
 Że mniemałbyś, iż sobie stroją tylko żarty?
 A wszelako, każdy w swem zdaniu tak uparty,
 Iż, choćbyś mu dowodził od rana do zmroku,
 I miał za sobą wszystkich rozsądniejszych wota,
 To on przecież od swego nie ustąpił kroku,
 I z jakim przyszedł, z takim wyszedł znów za wrota.
 Niechże w końcu przeciwne przeważą głosy,
 To trzeba było widzieć, jak zwiesiwszy nosy,
 Każdy mruczał pod swoim, i rozwodził żale,
 I nie żegnając nawet, rzucał radną salę.
 Wszystko to można było jeszcze znieść i strawić,
 Czasem nawet uśmieć się i trochę zabawić,
 Zwłaszcza, gdy przeciwnicy nadęci od buty,
 Ścierali się, niby dwaj angielskie koguty,
 I za słówko ostrzejsze, albo żarcik gruby,
 Byli niemal gotowi chwycić się za czuby?
 Gdybym strzegąc urzędu i miejsca honoru,
 Marszałkowską powagą nie przerywał sporu.
 Jeszcze większy wstręt czułem do uroczystości,
 Kiedy przyszło rozprawiać wobec cudzych gości,
 Lub przodkować w procesyi na świętego Jana,
 Albo na imieniny lub rodzinne święta
 Każdego z najjaśniejszych Opiekunów Pana,
 Częstować gratulacją jego rezydenta,
 I wysławiać dowody łaskawej opieki,
 Które Kraków pamiętać będzie w późne wieki!
 Lecz najtrudniej łykałem te szumne tytuły,
 Które się niustannie z każdej gęby snuły;
 I zdało się mym uszom, że je dźgają rożny,
 Ilekroć usłyszały głos „jaśnie wielmożny“!
 Gdyż jako dziś ten tytuł jest w powszechnej modzie,
 Tak i za Republiki bywał w naszym grodzie:

Więc biskup i kanonik — prezes z senatorem,
Reprezentant z marszałkiem, rektor z profesorem,
I czy kto miał, czy tylko dzierżył jakąś wsię,
Byle tylko łeb zadark, najeżył czuprynę,
Wszyscy równie wielmożni, wszyscy równie jaśni!
O ileż to na świecie krąży takich baśni!
Jakkolwiek bądź, szanując obyczaj wszelaki,
(Jeżeli takowy zresztą nikomu nie wadzi,
A dogadza tak panom, jakoteż czeladzi).
Odplącałem grzecznością grzeczności oznaki;
Lecz dzieląc z podwładnymi wszystkie onych trudy,
I unikając cienia nikczemnej obłudy,
Chciałem przeto naocznie przekonać ich w duszy,
Że mnie urząd i tytuł bynajmniej nie puszy.

Praca dała zaszczyty — z pracy szły dostatki,
Tak, iż mogłem zbudować dwie porządne chatki,
I założyć obszerne przy każdej ogrody,
I starczyć na potrzeby, a nawet wygody;
I z nadwyżki wspomagać ubogą rodzinę,
I mimo to na starość schować odrobinę.
Bowiem do spekulacji miałem głowę ciasną,
A przytem z Bożej łaski zbyt pocziwą wolę,
Jak żebym wyzyskiwał moich chorych bole,
I darł cudze kieszenie, aby łątać własną.
Więc chociaż nie wchodziłem z pacjentami w targi,
I nie liczyłem wizyt, ni czas na minuty,
I niedbałem, czy datek lichy był lub suty,
I na moich dłużników nie glosiłem skargi,
Lecz przeciwnie milczeniem tałem ich brudy,
To jednak mimo dużej z tej przyczyny szkody,
Znaczne miałem w ogóle z praktyki dochody.
Zdarzało się albowiem, że pacholek chudy
Hojniej nieraz zapłacił drobne bagatelki,
Niżeli tłusty ~~magnat~~ albo kupiec wielki.

Owóż zgola, aczkolwiek nie byłem łakomy,
 I chociaż dużo oba kosztowały domy,
 I wreszcie, mówiąc prawdę bez ogródki szczerą,
 Chociaż byłem rozrzutnym, raczej niżli sknerą —
 To wszelako nie znałem długów ni lichwiarza,
 Co się rzadko w Krakowie między ludźmi zdarza.

Tak pracując bez przerwy, długo, rozmaicie,
 Stanałem dość szczęśliwie na żywota szczycie,
 I tuszyłem, że moje służby i ofiary
 Zjedną mi spokojność, kiedy będę stary.
 Zwłaszcza, że siedł otwarcie prostą zawsze drogą,
 I od wszelkich ubocznych względów niezawisłe
 Pełniłem obowiązki według ustaw ściśle;
 Więc nie mogłem obrazić ni skrzywdzić nikogo;
 A jeżeli ktoś mniemał że był pokrzywdzony,
 To pewne winy tego tkwiła z jego strony,
 Lub w ustawach, jakich ja nie mogłem odmieniać:
 A których on nie umiał lub nie chciał oceniać,
 Jakoż krocząc tym torem przez wszystkie zawody,
 Odbierałem ze wszech stron zaszczytne dowody
 Zaufania, szacunku i szczerzej przyjaźni,
 Od władz i od podwładnych, tak starych jak nowych,
 Tudzież od mych znajomych, tak chorych jak zdrowych:
 Od nich zatem nie mogłem obawiać się kaźni.
 A, nienawidząc podłych zauszników służby,
 Sam zaś niezdolny tropić tajnych wrogów ślady,
 Nie mogłem też dopatrzeć żadnej groźnej wróżby,
 Więc mniemałem, że jestem bezpieczny od zdrady?

Ale moją otuchę za pogody silną,
 Okazała niestety straszna burza mylną!
 Burza, którą młódź najprzód zgotowała w szkole,
 I która po zamachu nikczemnym i pustym

W roku tysiąc osiemset czterdziestym i szóstym,
Oddała wolny Kraków napowrót w niewolę;
A ponowiona w ósmym przez stare już głowy,
Ścieśniła jeszcze mocniej biednego okowy.
Owóż to w owym roku, gdy Europa cała,
Niby Wezuw w wybuchu wrzała i szalała;
Kiedy ludy targały niewolnicze pęta,
W jakie je władza świecka okuła i święta;
W roku powszechnej wszystkich ze wszystkimi wojny,
Gdzie człek najniewinniejszy nie mógł być spokojny;
Zgoła w roku nieślawnnej i sławnej pamięci,
Doświadczyłem ja także szczególnej niechęci,
Od takich, którzy dotąd czcić mnie się zdawali,
Czy to w nadziei zysku? czyli, że się bali?
Lecz do których przybyło później jeszcze trochu
Swojskiego i obcego lichego motłochu!
Różne zatem figury i różne przyczyny,
Jak niemniej różne także były owe winy,
Które miały ich niechęć ku mnie spowodować,
I za które musiałem wtedy pokutować,
Pobudki i figury, które grały rolę
W tym ohydny dramacie, zamilczeć tu wolę,
Jako znane ówczesnym, a dziś częścią w grobie,
Niechaj więc w zapomnieniu spoczywają sobie.
Wreszcie ja ~~mi~~ przebaczam z bliźniego miłości,
Zwłaszcza, że ~~mi~~ na dobre wyszły onych złości,
Że niejeden ze szalu ochłodnąwszy potem,
Poprawił się, lub nędznym zakończył żywotem.
Ktoby zaś był ciekawym poznać moje grzechy,
Które w jednych budziły gniew, a w drugich śmiechy,
Ten niech czyta ówczesną Gazetę Krakowską,
Boć ta mi wyprawiała wciąż muzyki kocie,
Które dyrygował prawicą mistrzowską,
Sławny skrzypek Iżycki, w czoła swego pocie,
Niechaj oraz przegląda kolumny Jutrzenki,
Która wśród artykułów, wartych wszelkiej chluby,

Podobne jak gazeta prawi nieraz duby,
 I miesza z jej muzyką swoje także jęki.
 Nakoniec niech przewietrzy rozmaite świstki,
 Jakiemi jedni drugich zabawiali chłystki:
 Gdyż w owym politycznym dzikim karnawale,
 Mądry z głupim pospołu gonili z łoskotem,
 I śpiewając radośnie, lub rozwodząc żale,
 Jednych cukrem, a drugich obrzucali błotem.

Zrazu odurzyła mnie nagła zawierucha,
 Lecz wkrótce odzyskałem hart i trzeźwość ducha,
 Więc pełniłem spokojnie urzędowe sprawy,
 I znosiłem cierpliwie nikczemne odiosa;
 A w ten sposób zdawałem śród ulicznej wrzawy,
 Praktycznie z filozofii moje rigorosa,
 Abym sobie zasłużył na dyplom doktora,
 Jakim mnie obdarzyła właśnie rokiem wprzód,
 Alma Jagiellonica sędziwa Maciora,
 Zawdzięczając podjęte w jej usługach trudy,
 Lecz to nie ukoilo rozjuszonych rot,
 Ale drażniąc, tem większej dodało ochoty
 Do ścigania ofiary, która milcząc hardo,
 Odprawiała jej napaść spokojną pogardą.

A wszechnica? — może kto zdziwiony zapyta,
 Nie stanęłaż w obronie swojego rektora?
 W szczególności też bliżsi jego przyjaciele?
 O tem możnaby wprawdzie mówić bardzo wiele,
 Lecz tu dosyć powiedzieć, iż jak owa pora,
 Tak równie dziwna była onych konduita!
 Jedni zdali się na to patrzeć obojętnie,
 Lecz nie brakło i takich, co patrzali chętnie,
 Rozbierając zawczasu, jakie z jego zguby,
 Mogliby odnieść zyski według swej rachuby?

Do tych liczę w szczególe owe gładkie lisy,
 Co to jawnie po jego stali niby stronie,
 Ale wlaższy cichaczem za ciemne kulisy,
 Ściskali jego wrogów za obydwie dłonie.
 Reszta go żałowała, lecz milczkiem jak tchórze,
 W obawie, aby sami nie wzięli po skórze.
 W końcu garstka przyjaciół ozwała się przecie,
 W obronie skrzywdzonego, z przyganą, gazecie;
 Lecz ta ufna w bezkarność swawolnego druku,
 I w motłoch, który wtedy panował na bruku,
 Zliczywszy wreszcie szczupłą falangę rycerzy,
 Wyśmiała ich, ochrzcivszy mianem nietoperzy,
 A Iżycki, jak dawniej, ciągle skrzypkę stroił,
 I rzempolił, i miauczał, i codzień się spoił.
 A młodzież? młodzież wtedy już w części zuchwała,
 Zamiast słuchać swych mistrzów, im rozkazywała.
 Zwłaszcza, kiedy jeden z nich płynący za wodą,
 Zagrzewał ją do czynu Mickiewicza odą;
 A nawet proponował, iżby za pan-bracie,
 Profesor ze studentem zasiadał w senacie.
 Obiecując ztąd wielkie dla postępu zyski,
 Zwłaszcza u nas, gdzie stopień oświaty zbyt niski,
 W porównaniu do Niemców, Włochów, Anglów, Galów,
 A nawet dzikich jeszcze niedawno Moskalów,
 Których już dziś nad Polską góruje kultura.
 Jak nam znawcy dowodzą u Świętego Jura;
 Lecz nierównie dobitniej owe krocie rublów,
 Których więcej po całej łała Słowiańszczyźnie,
 Niżli po całej niegdyś starej Polsce wróblów.
 Świegocząc jej najczulej o wspólnej ojczyźnie:
 Bo jak w Niemczech talary, w Holandyi dukaty,
 Tak ruble są dowodem moskiewskiej oświaty.
 Naszej lichoty winy w tem szukać należy,
 Że dotąd nie wzywano do narad młodzieży,
 Lecz od czasów Kazimierza do obecnej chwili,
 Sami starcy wyłącznie o wszystkim radzili —

*Łała
Słowian*

16a

Starczy! których mózg zimny, suchy i stężały,
 Nie jest zdolnym wypacać wzniosłe ideały,
 Jakiemi błyszczą młode fosforyczne mózgi,
 Odkąd ze szkół wygnane łaty i różgi,
 I odkąd młodź bezpieczna od wszelakiej kary,
 Może smolić swobodnie przy piwie cygary.
 Wreszcie, każdy to przyzna że młodzieniec żwawy
 Dalej i prędzej zajdzie, niżli stare nogi.
 Czas zatem uchwycić się przeciwnej ustawy,
 I wprowadzić tych rajców w senatorskie progi.
 Seniorom wydała się ta haringa dzika;
 Lecz młodzież wychwaliła swojego rzecznika
 I z jegoto namowy, tudzież za rozkazem
 Samozwańczej Narodowej w Krzysztoforach Rady
 (Lękającej się jakiejś utajonej zdrady)
 Niechciała z panem Deymem i mistrzami razem,
 Pojechać w delegacyi do państwa stolicy,
 Aby złożyć monarsze adres od Wszechnicy.
 Później jeszcze też Rada wydała nam gwałtem,
 Ów adres — zarządziwszy oraz barykady!
 Ależ te zakończyły świetne dzieje Rady,
 A rajców za granicę wyгнаły ryczałtem!

Widząc zatem, że się szal coraz więcej szerzy,
 I że nie ma co ufać starym ni młodzieży;
 I nie chcąc dłużej czasu i sił moich trwonić
 W usługach korporacyi, niezdolny obronić
 Ani mnie, ani siebie, ani swych zakładów
 Od wylęgłych w zgniliznie anarchii owadów,
 Nakoniec, przewidując skutki tych obłędów,
 Pozbyłem się kolejno niewdzięcznych urzędów:
 Więc najsamprzód rektorstwa, z kolegów wyboru
 Przyjętego powtórnie, pomimo oporu;
 Następnie porzuciłem komisarstwo krwawe,
 Sprawiane, dopełniając Opiekunów wole;

Naostatek zaś dałem pożegnanie szkole,
 Która mnie zawdzięczała swój byt, ład i sławę.
 Pożegnany serdecznie od tych uczniów grona,
 Których nie zakaziła trucizna szalona.
 Poczem skryłem się zaraz w mej cichej zagrodzie
 Otoczonej murami z tyłu i na przodzie,
 A wrogi obaczywszy, żem już zniknął z pola,
 Że się zatem skończyła gończa onych rola,
 Tryumfując i syci wzajemnych oklasków,
 Porzucili arenę i przestali wrzasków.
 Dziś może ²mruknie jakiś ²cicho, ²gdy nawiasem
 Wspomni na rządowego niegdyś komisarza;
 Lecz tem głośniejsz rozводи, ilekroć się zdarza
 Gorzkie żale za owym dobrym, starym czasem,
 Wolnej, taniej, spokojnej Rzeczypospolitej,
 Gdy nieznano akcyzy, szanów ni żołnierza
 Każdy mieszkał wygodnie i był codzień syty,
 A Wisła rozdzielała Kraków od Kazimierza;
 Kiedy wreszcie na miejscu rząd i władze wszelkie
 Załatwiały wnet sprawy tak małe jak wielkie,
 A niejedną z nich nawet już krótka rozmowa,
 O co dziś trzeba pisać do Wiednia lub Lwowa,
 Wyczekując cierpliwie przez ćwierć lub pół roku,
 Przeciwnego częstokroć życzeniu wyroku,
 Ależ panie! daremne już teraz lamenta:
 Kto nie umiał być wolnym, niechaj dźwiga pęta!
 Ja przeciwnie, dziękuję niebu za tę burzę,
 I błogosławię oraz wrogów, lisy, tchórze,
 Że mnie wcześniej wyparli z pola trosk i znoju,
 I zagnali na błonia cichego pokoju.
 Odtąd bowiem przeżyłem lat dwadzieścia zgórą
 W zgodzie z sobą i ludźmi, z Bogiem i naturą,
 Rozważając swobodnie żywota wypadki,
 Póki śmierć nie rozwiąże onego zagadki.

zmruc = /
 Knie ci =
 cho jakiś

